№ 40 Warszawa, dnia 19 Września (1 Października) roku 1881.



TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JAMES GARFIELD.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Long-Branch 19 września. Dziś w nocy o godzinie 10 minut 50 umarł prezydent.

Taki telegram wysłano z owej miejscowości w daleki świat, i każdy inteligentny człowiek przeczytawszy go, musiał z westchnieniem powiedzieć: szkoda!

Był to człowiek żelaznej energii, czystego charakteru, nieznużonej pracowitości, dzielny syn ojczyzny, który nie wahał się stanąć w szeregu walczących i złożyć swój podatek krwi, a gdy ucichła wrzawa wojenna, nie złożył, lecz zmienił broń śmiercionośną na broń moralną, by ukochany przez siebie kraj uwolnić od ohydnego skira toczącego społeczeństwo amerykańskie — od korrupcyi, która się wkradła do wszelkich zakątków państwowego organizmu.

Przebieg życia tego człowieka może stanowić jedną z najświetniejszych kart dzieła Smilesa „Pomoc własna". Urodzony w ubogiej chacie fermera w Orange (hrabstwo Cuyahoga) dnia 19 listopada 1831 roku, stracił mając zaledwie dwa lata, ojca (1833 roku). Kto zna życie rolnika, ten potrafi należycie ocenić jak wielką stratę poniosło gospodarstwo, gdy umarł gospodarz — najzamożniejsza chata traci stopniowo swój dobytek i materyalne powodzenie, nawet przy usilnych staranach; mówimy tu o gospodarstwach mniejszych, w których właściciel jest punktem centralnym pracy i dochodów, — cóż dopiero dziać się musi w chacie biednego przybysza europejskiego, którego brak chleba wypędził z kraju rodzinnego! Właśnie w takiem położeniu znalazła się osierocona rodzina Garfieldów, przybyłych niedawno z Hessyi.

Nędza zajrzała pod strzechę wdowy, a tam gdzie idzie o włożenie do ust kawałka chleba, tam wszelkie względy na wykształcenie, na rozwój moralny ustępują na drugi plan. Zaledwie chłopak dorósł, musiał pomagać swej matce, a gdy scheda rodzinna okazała się niewystarczająca na wyżywienie licznej rodziny, młody James Garfield został wyrobnikiem, lecz za wątłe były siły chłopca, szukał innej pracy i zgodził się na fornala przy holowaniu statków, a następnie znalazł służbę jako sternik.

Z domu wyniósł on zaledwie elementarne wiadomości, lecz one stały się dostatecznym bodźcem dla jego umysłu, by zapragnął nauki.

Mając lat 18, udał się do publicznej szkoły i tak pilnie a wytrwale pracował nad sobą, że już w rok później (1850 r.) spotykamy go jako nauczyciela szkoły powiatowej; lecz nie zasypiał mając stałe dochody i perspektywę spokojnego życia. Po czteru latach pracy udał się do kolegium Williama, a po wysłuchaniu dwu kursów (1854 — 1856) i po złożeniu egzaminu został profesorem naukowego instytutu w Hiram (Ohio) a w rok później prezydentem tegoż zakładu. Równocześnie rozpoczął (1857 r.) praktykę adwokacką i został wybrany na członka senatu Stanu Ohio.

W chwili gdy zawrzała walka domowa w roku 1861, Garfield, gorący zwolennik unii, zwerbował 42 pułk ochotników z Ohio, stanął na ich czele jako pułkownik i rozpoczął szczęśliwą walkę w wschodniej Kentucky. Pod Prestonburgh odniósł świetne zwycięztwo i na polu bitwy został mianowany generałem brygady, zaś po odznaczeniu się w bitwie pod Shilol, mianowano go szefem sztabu generała Rosecrana. Zastępy południowców, czerpiące swe siły w złocie nagromadzonem krwią i potem biednych czarnych niewolników, wysyłały nowe zbrojne bandy, które miały powstrzymać pochód zwycięzkich wojsk Unii—przyszło zatem do krwawej bitwy pod Chikamanga (19 września 1863); zwyciężyli obrońcy wolności, a Garfielda ozdobiono tytułem i rangą generał-majora.

Syt sławy i godności, wrócił do rodzinnego miejsca, porzuciwszy służbę wojskową, a obywatele Ohio ceniąc w nim poświęcenie i miłość kraju, obrali go w r. 1869 na członka kongresu Stanów Zjednoczonych.

Republikanin z zasady i głębokich a bezinteresownych przekonań, zyskał w krótkim czasie cześć i poszanowanie wśród swego stronnictwa, a w roku 1877 został naczelnikiem republikanów.

Chcąc poznać dalszy przebieg życia i losów Garfielda, musimy choć pobieżnie dotknąć spraw wewnętrznych Stanów Zjednoczonych, które powołały 1 grudnia 1880 roku Garfielda na prezydenta państwa.

W r. 1880 kończyła się czteroletnia prezydentura Hayesa i postanowiono kandydaturę Granta, człowieka wsławionego zwycięztwami na polu bitwy i przyjmowanego z entuzyazmem w Europie w czasie ostatniej jego podróży, co mimochodem powiedziawszy, wielce schlebiało dumie Amerykanów. Zdawało się tedy, że przy nowych wyborach na prezydenta nikt inny tylko Grant ma wszelkie dane, by zostać po raz trzeci naczelnikiem olbrzymiej republiki. Jednakowoż podniesiono zarzut, że nawet twórca i najznakomitszy obywatel Stanów, Washington, był tylko dwukrotnie obrany prezydentem — obiór trzykrotny Granta, był w oczach ortodoksyjnych republikanów zapowiedzią zbliżającej się monarchii. Ten zarzut czyniono głośno; lecz pokryjomu obwiniano Granta, że za czasów jego rządów korrupcya rozwielmożniła się w państwie a nawet że dosięgła sędziów, że tem samem dobro publiczne cierpi a dochody państwowe toną w ręku niepowołanych. Obok Granta wystąpił jako kandydat dawniejszy minister skarbu Sherman, który przyrzekł stanowczo usunąć nadużycia.

Trzy razy przystępowano do głosowania i żaden z kandydatów nie osiągnął absolutnej większości, potrzebnej nieodzownie do utrzymania się na stanowisku prezydenta, a mianowicie z tego powodu głosowanie nie dawało żadnych rezultatów, ponieważ ci co z dotychczasowej gospodarki skarbem państwa korzystali, idąc za przewodem wpływowego senatora New-Yorku, p. Conklinga, nie dopuszczali do wyboru znienawidzonego Shermana: ten był dla nich za uczciwym.

W razie podobnego rozdwojenia w Ameryce, łatwo przychodzi do kompromisu i w tym wypadku zgodzono się na usunięcie dwóch dotychczasowych kandydatów, szukając trzeciego, któryby przy głosowaniu otrzymał pożądaną większość.

Garfield był tym trzecim kandydatem, na wybór którego się zgodzono, i on został mianowany prezydentem Stanów Zjednoczonych. Lecz stronnictwo republikańskie, olśnione tem niespodziewanem zwycięztwem, a obawiające się Granta, a zwłaszcza Conklinga, obrało na wice-prezydenta serdecznego przyjaciela wpływowego senatu p. Chester Arthura. Był to tylko akt grzeczności, gdyż Garfield był olbrzymem co do ciała i żelaznego zdrowia rokującego mu długie lata życia, tak że wice-prezydent schodził do rzędu figuranta.

Dnia 4 marca 1881 roku, objął Garfield rządy republiki i całą swą uwagę zwrócił na usunięcie szkodliwej korupcyi. Wtem niespodziewanie kula wstrętnego mordercy Karola Juliana Guiteau dnia 2 lipca b. r. przerwała wątek śmiałych i dobroczynnych czynów, którem nowy prezydent swą działalność rozpoczął.

Dziś Garfield umarł a Arthur jest prezydentem!

Spodziewano się w Garfieldzie znaleźć dogodne narzędzie, którem każdy dowolnie kierować potrafi, lecz zaledwie zamieszkał w „Białym domie" (pałac prezydentów), spostrzeżono w nim dzielnego i nieustraszonego męża czynu. Do ministeryum powołał ludzi nowych, nieskazitelnego charakteru, którym cały kraj ufał. Stronnictwo Granta a zwłaszcza Conkling widzieli się zawiedzionymi w swych nadziejach i w sposób wyzywający złożył groźny senator Newyorski swój mandat, będąc pewny ponownego wyboru a tem samem upokorzenia Garfielda. Lecz lud już się wyemancypował i Conkling upadł przy ponownych wyborach. Zdawało się, że ta zbawienna reakcya, zainaugurowana przez nowego prezydenta, przyniesie błogosławione korzyści — i tej nadziei oddali się spokojnie Amerykanie — dziś z trwogą spoglądają obywatele na nowego prezydenta, który przez trzy lata i sześć miesięcy ma rządzić republiką.

Zamordowanie najwyższego urzędnika republiki amerykańskiej nie jest jedynym i wyjątkowym wypadkiem w dziejach Ameryki. I Linkoln padł zamordowany podobnie jak dziś Garfield. Lecz jakaż olbrzymia różnica w przebiegu tych wypadków!

Gdy nędzny Booth, aktor z powołania, zamordował najdzielniejszego z obywateli Stanów Zjednoczonych, była to chwila niedawno zakończonej wojny domowej (oswobodzenie niewolników), gwałtowne namiętności wrzały jeszcze w łonie ludu; można było wierzyć, że zabójstwo było aktem zemsty a sam Booth zachował się odważnie. Wśród przepełnionego widzami teatru strzelił do prezydenta, zranił następnie pierwszego ministra, a potem skoczył z loży na scenę i mimo, że złamał sobie nogę, posiadał dosyć żelaznej energii, by uciekać mil kilkanaście, póki go nie schwytano. Ale podły skrytobójca Garfielda skradał się pokryjomu, by zadać śmiertelny cios prezydentowi, zranił go z tyłu a po spełnionym czynie dał się schwytać bez żadnego oporu. Tu nie mamy do czynienia z gwałtowną namiętnością i z politycznem zaślepieniem — tu szło tylko o nędzne pieniądze!

Charles Jules Guiteau był najzwyklejszym myśliwym na intratne posady,—żądał też od nowego prezydenta posady konsula, a otrzymawszy odmowną odpowiedź zemścił się szląc skrytobójczą kulę.

Linkoln umierając miał pewność, że dzieło jego życia nie zginie, że wolność zakwitnie i spokojnie mógł spoglądać w przyszłość — a nieszczęśliwy Garfield został zamordowany w chwili, gdy zaledwie zasiewać rozpoczął, zanim jeszcze dobroczynne ziarno przyjęło się na porosłej chwastami ziemi.

I któż teraz jest prezydentem? Oto człowiek, do stronnictwa którego należy morderca! Nie mamy zamiaru obwiniać Conklinga lub Arthura o współwinę w spełnionej zbrodni, a nawet według świadectwa dzisiejszych ministrów wice-prezydent okazał szczere współczucie. A jednak z obawą spoglądamy w przyszłość, bo dzisiejszy szef państwa, który pod wpływem Conklinga zajmował intratne stanowisko poborcy morskiej przystani w New-Yorku, został przez poprzedniego prezydenta Hayesa w upokarzający i wcale niezaszczytny sposób usunięty z urzędu.

Już dnia 26 sierpnia był Garfield blizkim śmierci, a lekarze stracili wszelką nadzieję utrzymania przy życiu prezydenta. Należało uprzedzić żonę i w tym celu udało się do niej dwóch lekarzy. Pani Garfield wysłuchawszy wieść nieszczęsną, a powstrzymując wzruszenie, rzekła: „Moi panowie, nie możecie i nie powinniście go opuszczać. On nie umrze, on żyć będzie. Wracajcie panowie do łoża chorego i nie zaniedbujcie żadnego środka ratunku, aż póki sama śmierć nie zamknie mu oczu, ja nie chcę wam wierzyć, nie mogę. Jestem jego żoną i proszę nie porzucajcie go aż do chwili zgonu." Pani Garfield tylko przez krótki czas oddala się boleści i rozpaczy, następnie uspokojona, czuwała przy łóżku męża. Suma zebrana przez dzienniki na wyposażenie pani Garfield, w razie śmierci męża, wynosiła do 20 września 156,757 dolarów 65 centów; gdy się o tem umierający prezydent dowiedział uśmiechnął się zadowolniony i rzekł: „Nie pozwolił naród umrzeć staremu żołnierzowi bez pociechy!"

Cześć jego pamięci!

Lecz zarówno czcić i uznać musimy potęgę społeczeństwa amerykańskiego, które, dzięki wolności i przymusowej a bezpłatnej nauce, pozwala zmężnieć, dojrzeć, ocenić i wynagrodzić kazdy talent bez względu na urodzenie, bez względu na przeszłość pracy. Najemnik, fornal i holownik, następnie nauczyciel i żołnierz, posiadł najwyższą godność potężnej republiki. To społeczeństwo amerykańskie, tak często spotwarzane i wyśmiewane, jakżeż jest potężnem a dobroczynnem gdy nie da zaginąć talentom zrodzonym pod strzechą fermera lub robotnika fabrycznego. Kiedyż my Europejczycy, chlubiący się naszą cywilizacyą, dojdziemy do tej doskonałości?!

Do końca swego życia wspominał z dumą zmarły prezydent swe lata dziecińśtwa i młodzieńcze; starą matkę sprowadził pod swój dach, a i przedtem chcąc użyć wypoczynku po trudach i walkach, przyjeżdżał do siwej staruszki, nie wstydząc się jej rąk czarnych i zapracowanych. Jakiż to piękny rys charakteru!

Jak przeważna większość Amerykanów, ożenił się i Garfield w młodym wieku, licząc lat 24. Kobieta, którą wybrał sobie na towarzyszkę życia, nie należała do klasy zamożnej, lecz podobnie jak i on była córką fermera, wzwyczajoną do pracy, wytrwałości i ofiarności. Z licznego potomstwa żyje troje dzieci: dwóch chłopców i dziewczynka, najstarszy ma lat szesnaście.

Jako mąż i ojciec, był Garfield nieposzlakowanego charakteru i wielce wyrozumiałym.

Nytychmiast po śmierci przewieziono ciało z Long-Branch do Waszyngtonu na Kapitol, gdzie spoczywało do 23 września, w tym dniu przewieziono je do Clevelandu i tam pochowano w poniedziałek o godzinie 2-ej popołudniu.

Z licznych głosów współczucia notujemy fakt ogłoszenia tygodniowej żałoby na dworze angielskim, jak również głosy ubolewania zgromadzonego w Wiedniu Towarzystwa międzynarodowego literatów, któremu udzielił Hiobowej wiadomości poseł republiki San Salvador p. Caicedo.

Chester Arthur o godzinie 12 w nocy, w dniu śmierci Garfielda złożył przysięgę i osobiście telegrafował do pozostałej wdowy po prezydencie wyrazy współczucia i współubolewania.

Zachowanie się mordercy Guiteau w więzieniu było w wysokim stopniu wyzywające i bezczelne, a gdy zdaniem Amerykanów proces i ukaranie skrytobójcy zbyt długo się przeciągało, utworzył się związek, zwykły w Ameryce i znany pod nazwiskiem „Linch".

„Linch" jest to wzajemne i ogólne porozumienie się obywatelów, by nad danym zbrodniarzem wykonać natychmiastową egzekucyą śmiertelną — jest to akt doraźnej sprawiedliwości, który powstał na rozległych ziemiach Ameryki, w oddalonych prowincyach i osadach, gdzie miecz sprawiedliwości prawnoformalnej nie ma jeszcze dostępu.

Ktokolwiek przyjrzał się nagłej kolonizacyi jakiejkolwiek okolicy wsławionej bogactwem ziemnem lub nadzwyczajną urodzajnością, gdy nagle w ciągu kilkunastu dni puste miejsca okrywają się namiotami i skleconemi chatami, mieszczącemi w sobie częstokroć tysiące ludności — ten łatwo zrozumie błogosławione skutki linchu, do tej chwili, póki machina państwowa nie zacznie funkcyonować.

W tym wypadku linch był wyrazem oburzenia i gwałtownej chęci pomszczenia się nad mordercą, przy losowaniu rola wykonawcy padła na sierżanta Masona, pilnującego więźnia. W chwili gdy Guiteau wychylił głowę, by przemówić, jak zwykle, w złośliwy sposób do straży, Mason strzelił z karabinu — lecz chybił. Kula drasnęła tylko ucho, przesunęła się po wierzchu ubrania i utkwiła w ścianie więziennej. Mason, który nieposzlakowanie służy rok dziewiętnasty przy wojsku, sam się udał do kapitana i zawiadomił go o wypadku, tłomacząc swój czyn słowami: „Jestem żołnierzem i nie zobowiązywałem się do strzeżenia mordercy, lecz do bronienia kraju." Władza wojskowa, poleciła aresztować Masona.

Gdy się udano do celi więziennej, znaleziono nędznika wystraszonego, klęczącego przy łóżku i krzyczącego na morderców—ochłonąwszy z przestrachu zachował się i nadal w bezczelny sposób. Dozorca więzienny wyznaczył skrytobójcy inną celę, która z zewnątrz jest niedostępną kulom zwolenników linchu — lecz zasłużona kara i tak go nie minie.

A. G.

ŻARTOWNISIA.

Piosenka.

Była dzieweczka ciemna jak noc,
A lica miała koloru róż,
Jej oczy ciskały taką moc,
Gdy chłopiec spojrzał, pokochał już.

Zbałamucona swemi wdzięki,
Dalejże wszystkich żartem zbywać,
Ten i ów miasto prosić jej ręki,
Choć począł kochać, przestał bywać.

Ona nie zważa na to wcale,
Dla niej błahostka ich urazy,
Owszem, powtarza wciąż zuchwale, —
Wszyscy są na moje rozkazy.

Raz przyszedł młodzian urodziwy,
Przybrany w piękny polski strój,
Z wezwanych on będzie szczęśliwy, —
Bo musi być koniecznie mój.

Te słowa rzekłszy dziewczyna płocha,
Jasnym rumieńcem spłonęła cała,
Uczuła bowiem, że go już kocha,
A on pomyślał, że żartowała.

Im więcej sideł nań zastawia,
Im bardziej smętną dolę słodzi,
Chłopiec zawodu się obawia,
Kryje zamiary i odchodzi.

Pómnij, dzieweczko, w żartów chwili,
Nie nadużywaj oczu czarów,
Żeby się chłopcy nie zmówili,
Nie rzucili dobrych zamiarów.

Huta Gzdowska. *W. R.*

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez
ALEKSANDRA DUMASA.
Przekład
J. B.

TOM II.
(Dalszy ciąg.)

XXXIV.
Groźby jenerała Manteuffel.

Burmistrz Fellner miał przez chwilę myśl aby korzystając z obecności tak niezliczonego tłumu i z tak żywe wywołującej wrażenie trybuny jaką przedstawiałby kamień grobowy, przeczytać z niej współobywatelom list jenerała Manteuffel; ale zastanowiwszy się, zaniechał tego zamiaru, aby smutnej tej uroczystości nie pozbawiać uroku religijnego. Nie chciał spraw odnoszących się do nieba mieszać z ziemskiemi, ani zaćmiewać czemskolwiek nieograniczonego wrażenia jakie wywarł na obecnych głos nieszczęśliwego ojca, przyzywającego pomsty Bożej za śmierć syna.

Naradziwszy się z drugim burmistrzem, panem Müller, postanowili udać się do drukarni miejskiej, kazać wydrukować list jenerała Manteuffel, aby go następnie rozlepić na wszystkich rogach ulic miasta, z następującym dodatkiem:

„Burmistrzowie Fellner i Müller oznajmiają iż raczej śmierć poniosą niż jakimbądź sposobem dadzą się zniewolić do niecnego obdarcia współobywateli."

Ogłoszenia te zostały rozlepione we dwie godzin później. Był to cios tem straszniejszy dla miasta, że całkiem niespodziewany.

Miasto zapłaciło już gotówką olbrzymią kontrybucyą 7,747,008 florenów i prawie takąż samą sumę w naturze, w dostawionych produktach, a nadto wszyscy obywatele zniewoleni byli żywić po dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu i nawet po pięćdziesięciu żołnierzy, i to nie odnośnie do swego mienia i zamożności, ale stosownie do kaprysu kwatermistrza wydającego bilety kwaterunkowe.

Jak to powiedzieliśmy już, samemu Hermanowi Mumm, przysłano dwiestu żołnierzy i piętnastu oficerów których musiał pomieścić i żywić.

Rozporządzenie jenerała Falkenstein wskazywało czego każdy żołnierz ma prawo wymagać od swego gospodarza; oficerów żadne nie krępowały ograniczenia, mogli żądać co im się podobało. Feldfebli uważać należało na równi z oficerami, a żołnierzom należało dawać rano: kawę, bułki i inne dodatki, na obiad zupę, funt mięsa na jednego, chleb, jarzyny, pół butelki wina, na kolacyą chleb z masłem, kwartę piwa i ośm cygar, których niewolno było kupować gdzieindziej jak u dostawców wojskowych. Ale żołnierze nie poprzestawali na tem i odgróżkami zdołali zawsze wymódz na drugie śniadanie chleb z masłem i wódką, oraz kawę na podwieczorek. Dla oficerów obywateli musieli nabywać cygara hawańskie.

Łatwo pojąć jak uciążliwą była dla obywateli taka samowola żołnierzy; wszelkie skargi nie doprowadzały do niczego, bo zawsze przyznawano słuszność żołnierzom. Lecz jakkolwiek oswojeni ze zdzierstwem i łupieztwem Prusaków, biedni Frankfurtczycy, gdy rozeszła się wieść o nowem bezprawiu jenerała Manteuffel, spoglądali na siebie z osłupieniem, nie mogąc uwierzyć w taki bezmiar nieszczęścia, a dowiedziawszy się o rozlepionych obwieszczeniach, zbierali się tłumnie przed niemi chcąc przekonać się naocznie o nowej klęsce.

Obaj burmistrze oznajmili więc, iż pod żadnym warunkiem najmniejszego nie przyjmą udziału w tej wydzierczej kontrybucyi, prawie niemożebnej do urzeczywistnienia; upływały więc godziny, ubolewano nad zdzierstwami i chciwością wrogów, ale nie zajmowano się bynajmniej spełnieniem ich wymagań. Tylko przed każdem obwieszczeniem stały gromadki, utyskując głośno i obliczając, że gdyby podobną kontrybucyą nałożono na Prusy, to względnie do ośmnastu milionów mieszkańców, wynosiłaby olbrzymią sumę 13 miliardów 500 milionów florenów, co wypadłoby po 750 talarów na każdego Prusaka. W następstwie tego obliczenia jedni wpadali w rozpacz, mówiąc że nie warto żyć pod tak ciężkiem jarzmem, inni unosząc się wołali: iż ponieważ już nic gorszego spotkać ich za to nie zdoła, wartoby urządzić *Nieszpory Sycylijskie.*

Tak upłynęło dwadzieścia cztery godzin i nietylko kontrybucya nie została zapłaconą, ale nie pomyślano nawet o sposobach jej uiszczenia. Jednakże kilku z najznakomitszych obywateli, z panem Rothschildem na czele, udało się do jenerała Manteuffel, ale ani chciał słuchać ich przełożeń, oznajmiając krótko:

— Jutro każe ustawić armaty na wszystkich placach, a jeźli za trzy dni nie złożycie mi przynajmniej połowy nakazanej kontrybucyi, a drugiej połowy za sześć dni, podwoję oznaczoną sumę.

— Jenerale, odrzekł Rothschild, nie wątpię że znasz doniosłość swoich dział, ale nie zna pan doniosłości środków jakie posiadasz; ruina Frankfurtu stanie się ruiną całej prowincyi nadreńskiej, a w znacznej części i innych.

— Mało mnie to obchodzi, moi panowie, odrzekł Manteuffel, zostawiam wam do wyboru: kontrybucya, albo rabunek i bombardowanie.

Oddalili się; cóż było odpowiedzieć na takie pogróżki, chyba tylko, że nie mogąc stawić oporu muszą się poddać.

Odpowiedź jenerała prędko rozeszła się po mieście; w całym Frankfurcie nie mówiono o niczem innem jak o rabunku i bombardowaniu. Straszny przestrach ogarnął mieszkańców, nie tylko obywateli ex wolnego miasta, ale i kolonią cudzoziemską złożoną z Belgów, Rosyan, Francuzów, Anglików i Hiszpanów. Ci udali się do swoich konsulów, którzy wystosowali jednozgodną notę do pułkownika Kortzfleisch, gubernatora miasta, w której prosili go aby ich upoważnił do zbicia niedorzecznej pogłoski, iż w razie niezapłacenia wymaganej kontrybucyi, miasto zostanie zbombardowane i wydane na rabunek, gdyż poddani ich rządów oblegają konsulaty prosząc o schronienie, a gołosłowne zapewnienia o niemożliwości wydania podobnego rozporządzenia, uspokoić ich nie mogą.

Lecz nietylko pułkownik nie dał żadnych uspokajających zapewnień, ale nie raczył nawet odpowiedzieć na notę zbiorową. Wtedy konsulowie Belgii, Rosyi, Francyi, Anglii i Hiszpanii, udali się do niego osobiście i usłyszeli z niewymownem zdumieniem, iż nie jest to bynajmniej niedorzeczna pogłoska, gdyż może być bardzo, iż w razie nie zapłacenia kontrybucyi, groźba ta będzie spełnioną.

Wtem promyk nadziei zaświecił Frankfurtczykom: jenerał Manteuffel opuszczał miasto, miał go zastąpić jenerał von Roeder. Może będzie on nieco względniejszym od swego poprzednika. Najpierw mieli przekonać się o tem konsulowie, gdyż niezadowolnieni z odpowiedzi pułkownika Kortzfleisch, wystosowali notę do jenerała von Roeder, prosząc aby ich upoważnił do uspokojenia obaw poddanych ich rządów, które odpowiedź pułkownika utwierdzić tylko mogła.

Ale jenerał także żadnej nie dał odpowiedzi. Wtedy sekretarze legacyi wysłali jednobrzmiące telegramy do właściwych ministrów, zdając po krótce sprawę ze wszystkiego i prosząc o instrukcye. Telegramy te oddano władzy wojskowej do zawizowania, ale ani ich nie wysłano, ani nie zwrócono legacyom. Dopiero 23 lipca przesłano im następujące zawiadomienie:

23 lipca 1866 roku.

„Jakkolwiek podpisany nie jest obowiązany udzielić urzędowej odpowiedzi na noty zbiorowe panów sekretarzy legacyi Francyi, Anglii, Rosyi, Belgii i Hiszpanii i wchodzić z nimi w korespondencye, jednakże zawiadamia ich, iż poddani ich odnośnych rządów nie potrzebują się obawiać środków jakie ewentualnie możemy być zniewoleni przedsiewziąć przeciw Frankfurtowi.

Komendant miasta,
Roeder."

Od samego rana tegoż dnia 23 lipca, wystąpiły liczne hufce wojska z zaprzężonemi nabitemi armatami. Ustawiono je na placu Targu-Końskiego, na placu Goethego, na placu Schillera i na lewym brzegu Menu.

Aby nie być posądzonym o przesadę, przytoczę tu ustęp z opowiadania jednej z dam frankfurtskich, będącej świadkiem i ofiarą dokonywanych gwałtów.

„Jenerał Roeder oznajmił nam iż zanim ucieknie się do ostatecznych środków, to jest rabunku i bombardowania, zacznie od łagodniejszych. Owe łagodne środki mające zniewolić do zapłacenia 25 milionów florenów, zasadzały się na zupełnem zamknięciu poczty, kolei żelaznej, telegrafów, skle-

pów, oberży, na otoczeniu miasta aby nikt nie mógł wejść ani wyjść z niego, na niedopuszczaniu żywności, z wyjątkiem przeznaczonej dla wojska.

„Skoro wszystkim jednakie zagraża niebezpieczeństwo i jednakie groźby, wtedy mieszkańcy jakiejbądź narodowości i pochodzenia, stają się braćmi, pocieszają się i dopomagają sobie wzajemnie. Mnie mało znana osobiście lady Malet, otoczyła swoją opieką, pożyczała powozów, nietykalnych jako własność dyplomatyczna, i zaofiarowała mnie i mojej rodzinie schronienie w pałacu legacyi, na którym powiewała chorągiew angielska. Ona także przyjęła do przechowania więcej jak połowę mego majątku w papierach publicznych, których bankierowie trzymać nie chcieli, nie mogąc zapewnić ich bezpieczeństwa.

„Frankfurtczyk któryby powrócił tu po jednomiesięcznej nieobecności, nie poznałby swego rodzinnego miasta. Ulice najokropniej zanieczyszczone, bo zabrano konie przeznaczone do wywożenia nieczystości. Na ulicach nie spotka prawie powozu, tylko furgony i wozy przewożące amunicyą i bagaże; wiele sklepów pozamykano, w innych nie ma kupujących. W teatrach ledwie co drugi dzień bywają przedstawienia; loże i parter zawsze są puste. Ani w teatrze ani na ulicach nie zobaczy ani jednej elegancko ubranej kobiety, kryją się w domach, z obawy grubiańskich zniewag."

Dalej taż dama opisuje jakich gwałtów, nadużyć i krzywd dopuszczali się tak żołnierze jak oficerowie stojący na kwaterach.

„W wielu domach moich znajomych tak oficerowie jak podoficerowie rzucali się ze szpadami na starców i bezbronne kobiety, jeźli np. między innemi, nie otworzono im natychmiast wszystkich pokoi, aby sobie wybrali najlepsze, choćby to były sypialnie gospodarstwa i ich rodziny. Jeden z oficerów groził panu von Bernus i pastorowej Stein, że ich powiesi na poblizkiem drzewie, jeźli raz jeszcze odważą się robić mu jakieś uwagi. W oberżach i przy *tables d'hôtes* Prusacy zachowywali się jak dzicy ludzie. Wypijali niezliczoną ilość butelek szampana i innych win, jedli co było najdroższego, ale nic nie płacąc na rachunek miasta.

„Pewnego dnia kilku oficerom przyszła ochota zobaczyć salę posiedzeń Sejmu,—którą nazywają *chlewem na wieprze*, gdy odźwierny otworzył im, w nagrodę wybili go niemiłosiernie.

„Na bogatym w wspaniałe nagrobki cmentarzu, nadzór miejscowy zmuszony był przybić ostrzeżenia z prośbą o szanowanie spokoju zmarłych, gdyż oficerowie wjeżdżali tam konno i zabawiali się przeskakiwaniem przez groby.

„Wspomnienia moje sięgają o lat kilkadziesiąt; pamiętam dobrze oblężenia i przechody wojsk wszystkich państw niemieckich, Chorwatów, Pandurów, Rosyan, Kozaków i Baszkirów; liczne zastępy wojsk Napoleona z ich przestrach budzącymi marszałkami, — ale nigdy i nigdzie nie widziałam ani słysałam nawet o podobnym teroryzmie i gwałtach jakich się dopuszczali Prusacy."

Dawszy czytelnikom pojęcie okropnego stanu, w jakim zostawał nieszczęśliwy Frankfurt, przestaniemy chwilowo zajmować się klęskami publicznemi, a powrócimy do prywatnych cierpień i udręczeń.

XXXV.

Ranny.

Jenerał dywizyi Roeder, którego jenerał Manteuffel mianował komendantem Frankfurtu, przyprowadził swoją dywizyą a w świcie jego znajdował się jenerał Sturm.

Czytelnicy przypominają sobie zapewnie, że baron von Below był szefem sztabu tej brygady i że w dniu wejścia Prusaków do Frankfurtu, wysłał naprzód czterech żołnierzy i sierżanta do domu pani de Chandroz, aby tym sposobem uchronić żonę, matkę jej i siostrę od zniewag i gburowatości żołdactwa.

Sierżant oddał pani von Beling list Fryderyka, zawiadamiający w jakim celu przysyła jej ten mały garnizon, i w którym prosił, aby kazała przygotować na mieszkanie dla jenerała Sturma i jego świty najpiękniejsze pokoje pierwszego piętra.

Pani von Beling i Emma zastosowały się ściśle do polecenia Fryderyka; żołnierze otrzymali doskonałą żywność, wino i cygara i zostali pomieszczeni w trzech pokojach na parterze; byli zupełnie zadowolnieni i spokój domu zapewniony.

Powiedzieliśmy wyżej w jak rozpaczliwym stanie Helena i Benedykt znaleźli Karola, jak tkliwem otoczyli go staraniem i z wszelką możliwą ostrożnością dowieźli do domu, gdzie chirurg dokonał nadzwyczaj zręcznie podwiązania arteryi, poczem polecił dawać rannemu dziennie trzy łyżki syropu z dygitalis, dla niedopuszczenia zbyt szybkiego krążenia krwi.

Przywołano Lenhardta i Benedykt polecił mu aby zaprzężony powóz dzień i noc stał przed domem, żeby w razie potrzeby można było każdej chwili natychmiast posłać po doktora, który przyrzekł zostawić w domu listę chorych wraz ze wskazaniem ich mieszkań i godzin w których ich odwiedza.

Dzień minął a żadna ważna zmiana nie zaszła w stanie chorego, wyjąwszy iż oddech jego stawał się nieco wyraźniejszy. Nad wieczorem pierś jego podniosła się westchnieniem, otworzył oczy i lekko poruszył lewą ręką szukając dłoni Heleny. Helena uchwyciła rękę narzeczonego i uścisnęła serdecznie. Benedykt nakłaniał ją, aby się udała na spoczynek, przyrzekając że czuwać będzie nad Karolem z braterską pieczołowitością, ale nie chciała oddalić się ani na chwilę, oznajmiając że sama chce doglądać rannego.

Wtedy Benedykt oznajmił, że oddali się na kilka godzin.

Przypomnijmy sobie, że Benedykt kupił w Dettingen całkowity ubiór marynarski, że w nim przepłynął Men, zabrał Helenę, towarzyszył jej w ucieczce na pole bitwy i nareszcie powrócił do Frankfurtu. Prócz tego ubrania nie miał nic jak tylko ów mundur styryjski ukryty wraz z bronią na statku Fryderyka, gdyż garderoba i pakunki jego pomieszczone razem z bagażami brygady hrabiego Monte-Nuovo, przepadły zapewnie, zostawszy zabrane przez Prusaków po bitwie pod Aszaffenburgiem. Wejście Prusaków zapowiedziane było na jutro lub najpóźniej na pojutrze, musiał więc przedtem zniweczyć ślady uczestnictwa swego w bojach, tak w szeregach hanowerskich jak austryackich. I w tym celu oddalił się na kilka godzin.

Była szósta wieczór. Jakkolwiek Helena coraz więcej ceniła Benedykta, jednakowoż pragnęła aby się oddalił na czas jakiś i zostawił ją samą z ukochanym. Tak wiele miała do powiedzenia mu sercem i ustami, tem więcej i tem śmielej, że jej słyszeć nie mógł.

— Oto klucz od domu, rzekła, podając mu go, wyjdź pan i wracaj kiedy zechcesz, i nie zapominaj, że jesteś jedynym moim i prawdziwym Karola przyjacielem.

I podała mu rękę, którą Benedykt ujął z uszanowaniem, nie śmiejąc nawet dotknąć ustami. Helena teraz była w oczach jego więcej jak kobietą, była uosobioną świętością...

Odszedł z zamiarem jak najśpieszniejszego powrotu. Lenhardt oczekiwał z powozem; usiadł i pojechali najpierw do domu Lenhardta aby wysłać inny powóz, poczem Benedykt kazał jechać do portu gdzie z łatwością trafili do łodzi Fryderyka, w której jak wiadomo, był mundur, kapelusz, karabin i pistolety Benedykta. Zabrał je i przeniósł do powozu.

Od rana dnia tego Fryga został w łodzi Fryderyka, węsząc na wszystkie strony i wyczekując powrotu swego pana; nie miał jeszcze czasu poprzyjaźnić się z wioślarzem, to też z radością wskoczył do powozu ze swoim panem. Benedykt dał Fryderykowi dwadzieścia florenów i odesłał go do Aszaffenburga, dziękując i życząc wszelkich pomyślności.

Załatwiwszy się z wioślarzem, Benedykt kazał zawieźć się do najpierwszego krawca; młody, zręczny, średniego wzrostu, łatwo mógł dobrać gotowe garnitury i zaopatrzyć się w nową garderobę.

Cały dzień 14 lipca bił się od 10 rano do 5 wieczorem; od 36 godzin wcale nie spał, był więc nadzwyczaj znużony. Jakkolwiek zamierzał codziennie kilka godzin w nocy spędzać przy Karolu dla zastąpienia Heleny, która nie byłaby wstanie czuwać bez wytchnienia, potrzebował przecież wyszukać sobie mieszkania; stawać w hotelu nie było bezpiecznie, brak jakichś formalności mógłby go co najmniej na wielkie narazić nieprzyjemności. Przyjął więc ofiarę Lenhardta i zajął mały pokoik w jego domku.

Nadzwyczaj potrzebował snu i spoczynku; pod tym względem młodość jest nielitościwą tyranką, domaga ich się koniecznie, chyba że gwałtowne wstrząśnienia i namiętności każą jej zapomnieć o wszystkiem.

Benedykt wziął kąpiel i położył się spać — w dziesięć minut potem nie wiedział nic o Karolu, Helenie, Fryderyku, Lenhardtcie i Frydze, nie wiedział o świecie całym — tak przespał sześć godzin.

Gdy się nareszcie przebudził, zegarek jego wskazywał pół do drugiej, wtedy pomyślał o Helenie, o tem jak ona musi być znużoną, i ubrawszy się prędko pobiegł do domu pani von Beling. Wszystkie wejścia były zamknięte; otworzył furtkę kluczem danym mu przez Helenę.

Schody były oświetlone. Wszedł na pierwsze piętro i minąwszy korytarz stanął przed drzwiami pokoju Heleny, oszklonemi do połowy.

Klęczała przy łóżku Karola, z czołem przyciśniętem do jego ręki. Patrząc tak na nią przez szyby, Benedykt sądził że zasnęła w tej postawie, otworzył cichutko drzwi, ale w tej chwili Helena podniosła głowę i zobaczywszy miłym powitała go uśmiechem.

I ona także od trzydziestu godzin nie zmrużyła oka, ale kobiety obdarzone są niezrównaną siłą poświęcenia — zdaje się sama natura przeznacza je na Siostry Miłosierdzia.

Powiadają, że miłość posiada moc i siłę śmierci, należałoby raczej powiedzieć, że posiada całą siłę życia.

Karol zdawał się we śnie pogrążony; widocznie skutkiem niedochodzenia krwi, mózg zapadł w odrętwienie graniczące z idyotyzmem. Jakiż to straszny zamęt w pojęciach o duszy naszej wytwarza owa niemoc o jaką pewne znużenie i wyczerpanie sił przyprawia nasz umysł! Jak się to dziać może aby wieczna, niebiańska, nieśmiertelna, od Boga pochodzaca dusza nasza, tak podlegała przy-

pływom i odpływom krwi, iż gdy skutkiem rany wielki nastąpi jej odpływ, zabiera z sobą nietylko siłę stanowiącą zmienną część naszej istoty, ale nawet boską jej cząstkę, to jest intelligencyą.

Ilekroć Helena wlała rannemu w usta łyżkę digitalis, połknięcie jej dowodziło, że nie opuściło go życie materyalne; nadto dawało się dostrzegać, że organizm jego funkcyonował coraz lepiej.

Zadaniem Benedykta było odnawianie lodu, aby woda zimna spadała regularnie kroplami na rękę, obmywając zarazem obie rany, tak zadaną szablą kirasyerską, jak lancetem chirurga.

Około ósmej rano, zapukano lekko do drzwi; była to Emma przychodząca zasięgnąć wiadomości o rannym,

Dla osób nieopuszczających rannego, zmiana w stanie jego zdrowia prawie nie dawała się dostrzegać; ale Emma, która widziała go tylko w chwili przenoszenia, nieruchomego i bladego jak śmierć, spostrzegła że polepszenie było widoczne.

Emma znalazła siostrę płaczącą i uśmiechniętą zarazem. Zdawało się Helenie, że w chwili otwarcia drzwi, chory, nadzwyczaj czuły na najlżejszy szmer, lekko uścisnął jej dłoń, — od tej chwili uśmiech wcisnął się między łzy, jakby promyk słońca między dwie chmurki.

Siostry rzuciły się sobie w objęcia, i Emma głośnym wybuchnęła płaczem. Patrząc na Karola, pomyślała o mężu. Jedna trzecia część łez spływających z jej oczu, płynęła za Karolem, druga nad siostrą, trzecia na samą myśl, że jutro ukochany Fryderyk mógłby leżeć jak Karol na łożu boleści.

Emma pragnęła także dowiedzieć się, kto jest ten młody człowiek, który wczoraj rano przybył po Helenę, towarzyszył jej na plac boju i powrócił wieczorem sprowadzając rannego Karola, który jeszcze wieczorem miał na sobie ubiór prostaczy, a dziś ma pański ubiór a co więcej i obejście. Nie chciała jednak się pytać, aby się nie zdawało, że przychodzi powodowana ciekawością.

Przypadek zrządził, że dowiedziała się po chwili.

Zdawało się Helenie, że woda nie tak kropliście spada z przyrządu.

— Panie Benedykcie, rzekła, zdaje mi się że zbrakło lodu.

Emma drgnęła usłyszawszy to imię.

— Daruj pan, rzekła, ale jest to imię tak rzadkie, iż wolno mi zapytać czy nie nazywasz się Turpin?

— Tak, pani, odrzekł, nie domyślając się powodu zapytania.

Emma nagle pochwyciła prawą jego rękę i podniosła ją do ust zanim mógł temu przeszkodzić.

— Na miłość Boską! co pani robisz? zawołał.

— Całuję rękę, ktora mogła zrobić mnie wdową, a zachowała mi męża. O! niech Bóg błogosławi zawsze tobie, panie, i wszystkiemu co kochasz.

— Ach! prawda, zawołała Helena, zapomniałam iż nie wiedziałaś, że pan Benedykt pojedynkował się z twoim mężem. Więc Fryderyk powiedział ci nareszcie, że nie wywichnął ręki ale był w nią ranny?

— Tak, powiedział mi wszystko, i przysięgłam mu, że imię i nazwisko pana nazawsze w wdzięcznej zachowam pamięci. Daję dowód, że nie zapomniałam swej przysięgi.

— A więc uściskaj pana Benedykta, Emmo, rzekła Helena, i niech odtąd będzie twoim tak jak już moim jest przyjacielem.

— Niech będzie więcej jak przyjacielem, niech będzie bratem naszym, odpowiedziała Emma, całując go w czoło.

W tejże chwili Hans przyszedł zawiadomić Emmę, że pan Fellner jest u pani von Beling i pragnie się z nią widzieć. Poszła natychmiast.

Pan Fellner przybył nadzwyczaj zaniepokojony. Dowiedział się, że kobieta jakaś sprowadziła rannego do domu pani von Beling, ale nie wiedział czy to była Emma i ranionym jej mąż, lub też Helena i jej narzeczony. W każdym razie przyszedł ofiarować swe usługi.

Co do Prusaków, mających wejść dziś lub nazajutrz, tych nie obawiał się dla pani von Beling i jej córek; Emma była żoną wyższego oficera pruskiego, uszanują więc jej matkę i siostrę. Co do swej rodziny, nie był tak spokojny, a wiadomo że zacny burmistrz miał młodą jeszcze żonę i dwie córki, jedną piętnasto, drugą szesnastoletnią. Prosił Emmy, aby, jeźli baron von Below z pierwszymi oddziałami wejdzie do miasta, sam wyznaczył żołnierzy, których przyślą mu na kwaterę i miał oko na ich zachowanie.

Biedny nie przypuszczał, że Prusacy będą wybijać bramy i kwaterować się, gdzie im się podoba.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT II.

(Dalszy ciąg.)

Scena czwarta.

Ciż bez JOANNY.

Księżna (do Rogera). I cóż sądzisz o tem? powiedz!

Roger. Prosty przypadek, nic więcej.

Księżna. Przypadek, być może, ale z tego widzisz, jak łatwo można się znaleźć na fałszywym tropie i nie trzeba nigdy... (Drzwi salonu otwierają się, ten sam fakt co pierwszym razem.) No, tym już razem chyba!...

(Głos des Milleta, który się słyszy przez drzwi otwarte i który przycicha w miarę przymykania się tychże.) „A choćby ich było sto, choćby i tysiące..."

Księżna. Ten stary Tyrteusz ma głos!

Głos. Pójdę sam nie dbając o ich gniew bezsilny.

Pójdę — z tej nikczemności niech mi zdadzą sparwę...

Pani de Céran i *Roger.* Łucya!

Scena piąta.

Ciż i ŁUCYA (idąc ku drzwiom ogrodowym).

Księżna. Jakto, Łucyo? odchodzisz?

Łucya (zatrzymując się). Przepraszam, nie widziałam księżnej.

Księżna. A jednak tam jest taki ładny wiersz. „Honor jest jak bóg pogański..."

Łucya (zwracając się i idąc ku drawiom). Jest to bóg, który...

Księżna. Tak, oczywiście ten sam. (Bije dziewiąta, Łucya przechodzi przez drzwi.) A ty Łucyo, mimo to odchodzisz?

Łucya (odwracając się). Muszę zaczerpnąć powietrza... mam migrenę. (Wychodzi.)

Wszyscy (siadając). I ta?

Scena szósta,

KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN, ROGER.

Księżna. Na seryo — sprawa zaczyna się robić coraz ciekawszą.

Pani de Céran. To także przypadek!

Księżna. Jeszcze jeden?... Nie, tym razem nie. Jakto? Więcby wszystkie... oprócz Zuzanny?... Nie, nie, w tem musi być coś... Ona nie przyjdzie. Założyłabym się, że ona nie przyjdzie. (Drzwi od salonu otwierają się nagle, słychać oderwany głośny wyraz z deklamacyi, a Zuzanna wchodzi szybko, jak gdyby chciała kogoś dogonić.) Otóż i ona!

Scena siódma.

Ciż i ZUZANNA.

Pani de Céran (wstając). Mościa panno, dlaczegoś wyszła z salonu.

Zuzanna (chcąc się wymknąć). Pozwól, kuzynko...

Pani de Céran. Zostań!

Zuzanna. Ależ proszę...

Pani de Céran. Zostań i usiądź!

Zuzanna (siada na taborecie przy pianinie na którym się odwraca za każdym razem gdy jej mówić przychodzi z którą z tych osób.) Siedzę.

Pani de Céran. Pytam ci się dlaczego wychodzisz z salonu?

Zuzanna. Bo mnie nudzi to co tam ten stary jegomość deklamuje.

Roger. Czy ta jest tylko przyczyna?

Zuzanna. Wychodzę, bo i Łucya wyszła, jeżeli panu chodzi o inną przyczynę.

Pani de Céran. Miss Watson, mościa panno...

Zuzanna. Rozumię dobrze... Miss Watson jest doskonałością, ideałem, ptakiem rzadkim... jej wolno wszystko... gdy tymczasem mnie...

Roger, Gdy tymczasem ty Zuzanno...

Pani de Céran. Pozwól mnie mówić dzisiaj — gdy tymczasem ty mościa panno, biegasz po świecie sama.

Zuzanna. Tak jak Łucya.

Pani de Céran. Ubierasz się w sposób najdziwaczniejszy.

Zuzanna. Tak jak Łucya.

Pani de Céran. Kokietujesz pana Bellac, ciągle z nim rozmawiasz...

Zuzanna. Tak jak Łucya, alboż ona z nim nie rozmawia, ona? (zwraca się do Rogera) i z tym panem także?

Pani de Céran. W rzeczach potrzebujących sekretu, wszak mnie pojmujesz?

Zuzanna. O! dla sekretów nie trzeba ze sobą rozmawiać... jest na to sposób... listy... (Patrząc na Rogera, półgłosem) ze zmienionym charakterem.

Pani de Céran. Co?

Roger (po cichu do księżnej). A co?

Księżna (po cichu). Cicho!

Pani de Céran. Nareszcie!

Zuzanna. Nareszcie! Bo Łucya mówi z kim chce, Łucya wychodzi kiedy chce, Łucya ubiera się jak się jej podoba. Ja chcę to czynić co Łucya, skoro ją wszyscy tak kochają.

Pani de Céran. A wiesz, mościapanno, dlaczego ją tak kochają? Dlatego, że pomimo swobody ru-

chów, co jest następstwem jej narodowości jest ona poważną, ukształconą...

Zuzanna (powstając). Więc cóż? a ja? Czyż i ja taką zupełnie nie byłam? Tak, przez sześć miesięcy aż do dzisiejszego wieczoru, uczyłam się po pięć godzin dziennie, pracowałam z natężeniem, studyowałam tak jak ona... i tyle umiałam co ona! I o przedmiocie i o podmiocie, i wszystko to... A na cóż mi się to zdało? Alboż się ze mną wszyscy nie obchodzą teraz, jak bym była małą dziewczynką? Wszyscy, tak wszyscy! (Patrząc z boku na Rogera.) A czy kto na mnie zwraca choćby trochę uwagi? Zuzanno, co robisz? Zuzanno, gdzie idziesz? ot i wszystko, ot i cała troska o mnie i ciągłe dąsy, dlatego tylko, że nie jestem żadną starą Angielką.

Roger. Zuzanno!

Zuzanna. O, broń pan jej, broń! Wiem ja dobrze jaką trzeba być, aby się panu podobać. (Biorąc binokle od księżnej i kładąc je na nos.) Estetycznie, etycznie! Szopenhauer? Moje *ja* i moje *nieja*, lari fari, et cetera, et cetera.

Pani de Céran. Oszczędź nam mościa panno ulicznej swawoli!

Zuzanna (kłaniając się nizko). Ślicznie dziękuję mojej kuzynie.

Pani de Céran. Tak, ulicznej swawoli... i niedorzeczności, które ciągle popełniasz...

Zuzanna. Ponieważ pozwalam sobie ulicznych swawoli, nic więc dziwnego, że popełniam niedorzeczności. (Żywo.) Więc cóż — zgoda, głupstwa robię... i robię je umyślnie, i będę ich robić więcej jeszcze!

Pani de Céran. Ręczę ci za to, że już nie u mnie.

Zuzanna. Tak, tak, — wyszłam razem z panem Bellac—mówiłam po cichu z panem Bellac — tak, bo mamy ze sobą ja i pan Bellac tajemnicę.

Roger. Śmiesz-że!...

Zuzanna. A on jest uczeńszy od pana i on jest lepszy od pana. A ja go więcej kocham aniżeli pana. Tak, kocham go, kocham!

Pani de Céran. Posłuchaj mnie, mościa panno. Zanim popełnisz nowe głupstwo, którem mi grozisz, zastanów się! Wrzawa, wybryki, skandale, przystają tobie daleko mniej, aniżeli komubądź innemu, panno de Williers.

Księżna (do pani de Céran). Przestańże!

Pani de Céran. Ale, księżno, niechże ona przynajmniej raz się dowie.

Zuzanna (powstrzymując łzy). O! ja wiem!

Księżna. Co takiego?

Zuzanna (rzucając się w jej ramiona z płaczem). Ciociu moja, ciociu!

Księżna. Uspokój się moje dziecko. (Do pani de Céran.) Potrzeba ci było wywoływać wilka z lasu. (Do Zuzanny.) Cóż więc wiesz takiego? (Sadza ją na kolanach.)

Zuzanna (mówi z płaczem). Co takiego? nie wiem, ale wiem że jest coś przeciw mnie... to wiem i już od bardzo dawna.

Księżna. Czy ci kto co powiedział?

Zuzanna. Nikt... i wszyscy... ci wszyscy, którzy patrzą na mnie i szepczą, którzy milczą gdy wchodzę... którzy mnie całują i mówią: „Biedna mała". Jeżeli myślicie, że tego dzieci nie czują...

Księżna (ocierając jej oczy). Uspokój mi się, moje drogie dziecko...

Zuzanna. A dopiero w klasztorze! Widziałam dobrze, że nie jestem taka jak inne... Czy widziałam! Mówiono mi zawsze o moim ojcu, o mojej matce... dlaczego, skoro ich już nie miałam? A raz podczas rekreacyi, bawiłam się z daleko większą ode mnie i nie wiem co jej uczyniłam... ale ona wpadła nagle w wielką złość i nazwała mnie „dziewczyną nieprawą". Ona nie wiedziała coby to miało znaczyć, ani ja nie wiedziałam! To matka jej, która to powiedziała w obec niej. Przyznała mi się potem do tego, gdyśmy się pogodziły. O jakże ja wtedy byłam nieszczęśliwą! (Łkając.) Szukałyśmy w słowniku... lecz nic nie znalazłyśmy a przynajmniej nic nie mogłyśmy zrozumieć. (Z gniewem.) Lecz nareszcie co to znaczy?... Cóżem ja uczyniła, że nie jestem taką jak inne, że wszystko co uczynię jest złe? Alboż w tem moja wina?

Księżna (całując ją). Nie moja mała... nie moja droga dziewczyno...

Pani de Céran. Żałuję...

Zuzanna (łkając). A więc dlaczego mi ciągle wyrzucają, jeżeli w tem nie ma mojej winy? A ja tutaj dla wszystkich jestem ciężarem, ja to czuję dobrze i nie chcę dłużej zostać, pójdę sobie precz. Nikt mnie tu nie kocha.

Roger (wzruszony). Dlaczego tak mówisz, Zuzanno? to nieładnie, — przeciwnie, wszyscy tutaj... i ja także...

Zuzanna (powstając z wściekłością). Pan?!

Roger. Tak, ja i przysięgam ci...

Zuzanna. Pan? ach!... pan, proszę mi dać pokój, ja pana nienawidzę, ja nie chcę pana nigdy więcej widzieć, nigdy!... Rozumiesz pan? (Odchodzi ku drzwiom ogrodu.)

Roger. Zuzanno! Zuzanno! gdzie idziesz?

Zuzanna. Gdzie idę? Idę się przejść. Przedewszystkiem idę tam gdzie mi się podoba.

Roger. Dlaczego teraz?... Dlaczego wychodzisz?...

Zuzanna. Dlaczego? (Podchodzi ku niemu.) Dlaczego? (Mówi mu w oczy.) Mam migrenę!

(Wszyscy się zrywają Zuzanna wychodzi.)

Scena ósma.

ROGER, KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN.

Roger (bardzo wzruszony). No teraz przyznasz ciociu, że to jasne?

Księżna (powstając). Coraz mniej.

Roger. Zobaczymy, pójdę się przekonać.

Pani de Céran. Rogerze, gdzie idziesz?

Roger. Gdzie idę? Idę uczynić to samo co księżna, sprawdzić gdzie oni się znajdują, i przysięgam że jeżeli sprawdzę... jeżeli ten człowiek odważył się...

Pani de Céran. Jeżeli się sprawdzi... ja ją wypędzę.

Roger. Dobrze więc, jeżeli się sprawdzi... ja go zabiję. (Wychodzi.)

Księżna. Jeżeli się sprawdzi, ja ich pożenię. Tylko że się to nie sprawdzi, lecz nareszcie przekonamy się, chodź!

(Chce ją pociągnąć za sobą — słychać ogromne oklaski w salonie tuż obok, hałas poruszonych krzeseł i rozmów.)

Pani de Céran (wahając się). Ależ...

Księżna. Co takiego? Jeszcze jaki ładny wiersz. Nie, to koniec aktu. Prędko, zanim nadejdą.

Pani de Céran. Ależ moi goście?

Księżna. Ach! Twoi goście! Zdrzemną się i bez ciebie. (Wychodzą.)

(Drzwi z głębi otwierają się i pozwalają dojrzéć wiele osób w grupach i des Milleta bardzo otoczonego.)

Różne głosy. Bardzo pyszne! bardzo wzniosłe! Wyżyny sztuki.

Paweł. Ślicznichny ten akt, nieprawda generale?

Jenerał (ziewając głośno). Ślicznichny a jeszcze będzie ich cztery!

(Paweł wymyka się zręcznie, dochodzi do drzwi ogrodowych i znika.)

Zasłona spada.

Koniec aktu II-go.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Po drodze M. Gawalewicza. **Pani Geldhab** C. Danielewskiego. **Książę-mnich na Kujawach** A. W. Piotrowskiego.

Pan Maryan Gawalewicz, który od lat kilku pracuje na niwie dziennikarskiej, napisał kilka dobrych komedyjek jak: „Kraszewski w Warszawie", „Z rozpaczy", grywanych z powodzeniem tak w teatrzyku dobroczynności, jakoteż w teatrach warszawskich. Komedyjka „Po drodze", którą autor skromnie nazwał humoreską, posiada zwykłe zalety pióra p. Gawalewicza, elegancki dyalog, dowcip salonowy, piękny język i zgrabne zawiązanie intrygi. Powyższy utwór zalety te posiada w wyższym stopniu aniżeli kreacye poprzednie, co jest dowodem, że talent autora mężnieje i rośnie. Scena przedstawia dworzec kolei żelaznej, na którym zjawiają się kolejno szlachcic starej daty narzekający na pośpiech i niedogodności jazdy kolejowej,—lepszą w jego oczach jest jazda budką żydowską, bo to człowiek nakrzyczy, wyhałasuje żyda, ma popasy dowolne, a koleją pędź, leć a gdy się chwilkę spóźnisz, to już przepadło. Wraz z nim jedzie jego siostrzenica, milutka i dowcipna panienka, która śpieszy na ślub swej przyjaciółki. Na stacyi spotykają się również dwaj przyjaciele, jeden z nich jest szczęśliwym narzeczonym, drugi kawalerem. Naturalnie kuferki są złożone, tak jednych jak i drugich, a przyjaciel narzeczonego dobiera się do kuferka z polecenia właściciela szukając tytoniu. Zamiast tego znajduje w kuferku: kaftanik, czepeczek, ładną fotografią a co najlepsza, pieczonego kuraka i butelkę wina, które spożywa z apetytem. Po chwili wchodzi szlachcic, wdaje się w rozmowę, przyjmuje poczęstunek, który mu bardzo smakuje; wtem odzywa się dzwonek, wszyscy się schodzą i następuje komiczna scena o kuferek. Rzecz cała się wyjaśnia; podobieństwo kuferka wywołało omyłkę, dobry kurak i stare wino należały do szlachcica, drużka poznaje narzeczonego swej przyjaciółki, zaś przyjaciel przyjmuje zaproszenie na drużbę. I w ten sposób *po drodze* znaleźli się znajomi drużbowie i, jak się autor pozwala domyślać, zakochani. Gra artystów była staranną, lecz całość nie szła tak składnie, jakby tego spodziewać się należało.

Po raz pierwszy wystąpił pan C. Danielewski jako autor i nazwał swój utwór „Panią Geldhab", t. j. mającą pieniądze, bo bohaterka nazywa się właściwie panią baronową Hechtkopf. Bogata ta żydówka, jej piękna kuzynka i emancypowana w ujemnem znaczeniu tego słowa jenerałowa, są równocześnie bałamucone przez mniemanego hrabiego, następnie księcia a w rzeczywistości fryzyera i lokaja. Autor przesuwa przed oczyma czytelników różne fazy bałamucenia tych kobiet, rozmowy są przeplatane dowcipami zbyt kawalerskiej natury, które jednak podobały się ogródkowej publiczności. Naturalnie rzecz cała się wyjaśnia i rzekomy hrabia znika skonfudowany ze sceny. Muza, która natchnęła pana Danielewskiego do

napisania tej farsy, widocznie zbyt wiele użyła szampana, wesołość bowiem jej miała swe źródło widocznie w silnem podochoceniu. Szczerze radzilibyśmy młodemu autorowi, by powstrzymał trochę swą werwę kawalerską, a wówczas nie wątpimy, że napisze rzecz lepszą, gdyż znać w nim obycie się ze sceną i umiejętność wyzyskania efektu. Pani baronowa Hechtkopf znalazła godną przedstawicielkę w pannie Maryi Kwiatkowskiej, która z artystyczną miarą i finezyą rolę tę odtworzyła, również odznaczyli się p. Gloger, Konarska i sam autor.

Trupa artystów pod dyrekcyą pp. Krotkiego i Morozowicza, przedstawiła na scenie w Eldorado obraz historyczny z XIV wieku w 6-u aktach a 8-u obrazach p. t. „Książę-mnich na Kujawach", napisany przez A. W. Piotrowskiego. Jako pierwsza praca dramatyczna młodego a nieznanego autora, utwór ten zasługuje na pobłażanie. Skromny tytuł nadany przez autora, obraz historyczny, odpowiada całemu przeprowadzeniu akcyi i technice utworu. Są to luźne obrazki, które same w sobie mają pewien wdzięk, ale nie mogą rościć pretensyi do siły dramatycznej i odpowiedniego obrazowania epoki. Znany z historyi Władysław Biały, książę gniewkowski, po stracie swej ukochanej żony, wstąpiwszy do klasztoru benedyktyńskiego, w r. 1373 uchodzi z dworu węgierskiego zrzuciwszy habit mniszy, i stara się odzyskać swe księstwo, lecz pobity przez Sędziwoja z Szubina, stracił zajęty Szarlej. W dwa lata później, wypadłszy z Drezdenka opanował Złotoryą i Gniewków, przez pewien czas bronił się przeciw Sędziwojowi i Kazimierzowi Szczecińskiemu, który nawet po legł pod Złotoryą, w końcu uległ sile i sprzedał swe pretensye za 10,000 grzywien. Taką jest w streszczeniu historya Władysława Białego. Autor obrał sobie drugą część za przedmiot swego obrazu: kazał się kochać Władysławowi w córce Sędziwoja, Hannie, zjednoczył się z Krzyżakami i walczy w imię swych praw do korony i miłości. Zwyciężony w pojedynku przez Bartosza z Sokołowa, męża Hanny, zostaje na wolność wypuszczony. Nam się wydaje, że pierwsza część życia, gdy po śmierci żony sprzedaje Gniewków i chroni się do klasztoru, bardziej się nadawała do dramatu, ale za temat nie możemy pociągać do odpowiedzialności autora, jedynie mamy prawo poddać krytyce jak oddał i przeprowadził obrany przedmiot. Otóż autor stworzył postacie fantastyczne, które mówią i poruszają się bez życia i przejęcia, psychicznych czynników nie wyzyskał należycie, i nie nadał temperamentu działającym osobom. Lecz za zasługę mu poczytujemy, że obrał sobie poważny, historyczny przedmiot na pierwszy swój występ, że zużytkował swe pióro do nakreślenia obrazu z ojczystej historyi i nie wątpimy, że przy usilnej pracy autor stworzy rzecz lepszą, o której mówiąc, nie będziemy pisać tylko o dobrych chęciach, lecz i o dobrem przeprowądzeniu.

Gra artystów była dobrą; poruszali się na scenie odpowiednio do nastroju dramatycznego, a niektórzy jak pp. Carmantrant, Janowski, Idziakowski a zwłaszcza p. Morozowicz bardzo dobrze oddali swe role. Na największą pochwałę zasługuje wystawa obrazu; bogate i wierne kostiumy, ładna broń i przybory wojenne mogłyby zawstydzić nawet najlepiej uposażone teatra, — dyrekcya nie szczędziła starań i kosztów, a że sztuka nie ma powodzenia, to już wina autora.

A. G.

NOWE WYDAWNICTWA.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszła w b. r. powieść sympatycznego pisarza, znanego pod pseudonimem Sewera, autora wielu nowell i dramatów. Sewer, przebywając dłuższy czas na obczyźnie, poznał i odczuł życie cudzoziemców, a zwłaszcza Anglików, i biorąc bezpośrednio swe wzory z obserwacyi, tchnął w nich życie, owiał atmosferą łagodnego smutku i tęsknoty, ozdobił iście Dickensowskim dowcipem, a wiernie zachowując koloryt miejscowy, tworzy powieści na wskroś oryginalne pozwalające nam wglądać w życie rodziny angielskiej. I najnowsza jego powieść p. t. „Bratnie dusze", posiada wszystkie zalety pióra tego autora. Bohater tej powieści, zacny pan Samuel Smile, jest sobie na zewnątrz wcale nieciekawą a nawet brzydką figurą, olbrzymie nogi, długie ręce, szeroka twarz nie znamionują nic nadzwyczajnego, a jednak jest to zacny oryginał, dla którego społeczeństwo i praca dla niego jest celem życia, rozkoszą, marzeniem, ideałem. Przypadkowo poznaje na ulicy biednego chłopaka Karola, zdolnego rysownika, i dziewczynkę miłą i czułą na wrażenia zewnętrzne Jess. Dwoje tych dzieci postanawia pan Samuel kształcić i oddać je na usługi społeczeństwa; kwestya wychowania zatrudnia wszystkie osoby wchodzące w skład powieści, a przysparza wiele kłopotu dzielnemu Samuelowi, który pragnie za każdą cenę swych wychowańców zrobić oryginalnymi. Spodziewał się opiekun, że dzieciaki pokochają się wzajemnie, myślał że są to bratnie dusze, bo Karol jest artystą malarzem, a Jess znakomitą artystką dramatyczną; ale odmiennie pokierowali się młodzi ludzie. Karol pokochał się w bogatej i dumnej Leonorze Hamilton, która bawi się jego uczuciem do chwili pozyskania męża w osobie wicechrabiego Maclaine'a, kochanego skrycie lecz gwałtownie przez Jess. W jednej chwili dwoje tych wychowanków Samuela tracą grunt pod nogami; słabszy Karol zapada na niebezpieczną chorobę, w której go pielęgnuje Jess. Następnie wyjeżdżają do Francyi i Włoch, by utulić ból serca i rozkochać się w sztuce, a w końcu i w sobie. Dwie bratnie dusze poznały się i połączyły. Ale i pan Samuel, gdy każdego wieczora czyni rachunek z aktywów i passywów moralnych i materyalnych minionego dnia, powtarza z rozczuleniem „Gdyby tu ona była!..." I często łzy ma w poczciwych oczach, bo i on miał kiedyś bratnią duszę, czystą, szlachetną a smutną — była to „Polka".

Oto jest w najogólniejszych zarysach treść powieści, która zmusza czytelnika do łez i do śmiechu i nie pozwoli się zamknąć, póki się nie odczyta ostatniej stronicy.

Typy i charaktery są mistrzowsko schwycone, kreślone postacie nawet drugo i trzeciorzędne występują plastycznie na tem tle życia rodzinnego, cichych ofiar i zacnych serc.

Jest to jedna z najlepszych powieście tego autora, i jedynie radzibyśby widzieć mniej wpływu Dickensa i Tackereya, a więcej odrębności, jesteśmy bowiem przekonani, że innem okiem musi patrzeć Polak a innem Anglik na angielskie życie, a tego oryginalnego poglądu trochę zamało.

A. G.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ „Jednem z najcharakterystyczniejszych znamion naszych czasów, czytamy w „Biesiadzie Literackiej", jest nerwowość. Gdziekolwiek się obrócić, we wszystkich krajach, we wszystkich sferach społecznych napotykamy jedno i to samo zjawisko: pośpiech, gorączkowość, niepokój,—wszędzie zastosowanie tych samych środków, wywołujących ciągle podrażnienie nerwów. Właściwe choroby nerwowe wzrastają w zastraszających rozmiarach; newralgia w coraz nowych występuje objawach. W zamożniejszych klasach coraz więcej rozpowszechnia się paralityczny ból twarzy, dalej cierpienia histeryczne, hipokondrya, skłonność do jąkania, wielka choroba, epilepsya, rozstrój władz umysłowych, wreszcie idyotyzm." Dodać tu jeszcze trzeba manię samobójstwa, coraz liczniejsze zabierającą ofiary.

Aby położyć tamę tak nienaturalnemu rozwojowi, autor powiada, że to należy do rodziców, do wychowańców, doszkoły—a jakże i jedni i druga wywiązują się z tego? Pomijając już to, że nie zawsze przykład domowy budująco wpływa na dzieci, iluż to błędów dopuszczają się nieraz rodzice, dla zadowolnienia osobistej próżności. Matki starają się jak najśpieszniej wprowadzać córki w świat, ojcowie co prędzej usamowalniać wyrostka. Skutkiem takiego postępowania, niedojrzałe pokolenie przywyka przedwcześnie do warunków, wymagań, wzruszeń i przyjemności życia właściwych dopiero dojrzałości — co nie może przyczyniać się do używania w spokoju systemu nerwowego."

Zgadzamy się najzupełniej z szanownym autorem. Rodzice nie pojmują jak straszną krzywdę wyrządzają dzieciom, obznajmiając je przedwcześnie z zabawami i tak zwanemi przyjemnościami życia. Następstwem przedwczesnych zabaw bywa, niechybnie niemal, niechęć do nauki, zaprzątanie głowy myślami nieodpowiedniemi wiekowi, przedwczesne rozbudzanie instynktów szkodliwie oddziaływających na zdrowie i swobodę lat młodocianych, a nareszcie, nader często, przesyt i znudzenie, zamieniające wyrostków na przeżytych starców, których nic już nie zajmuje i nie bawi. A ileż to razy, niestety, podobnie zdenerwowane dzieci, wyrastają na małoletnich samobójców! Niech dzieci bawią się swobodnie w rodzinnem i domowem kółku, na wszelkie zaś publiczne zabawy i widowiska, szczególniej dla dziewcząt, dość czasu po ukończeniu nauk, — wtedy nawet niezawodnie większą sprawią im przyjemność, bo je lepiej zrozumieć i właściwiej ocenić będą mogli.

„Niemniej zgubny wpływ (mówi dalej) na późniejszy rozwój umysłowy młodzieży wywiera sama szkoła, a raczej system przeciążający siły uczniów pracą naukową. System ten jest w ścisłym związku z objawiającemi się w późniejszych latach zboczeniami umysłowemi.

„Dojść przejrzeć plany godzin w wyższych naszych zakładach naukowych, aby się przekonać, że uczeń gimnazyum musi poświęcać 36 godzin wykładowi szkolnemu, nie licząc czasu przygotowania się w domu do lekcyi. Wynosi to na tydzień do 60 godzin nauki — kiedyż więc uczący się znaleźć może czas na kształcenie ciała? Czyż wystarczą mu na to kwadransowe przestanki pomiędzy lekcyami, lub droga jaką odbywa do szkoły, obarczony tornistrem?

„Zarzuci nam ktoś może, że przecież i rodzice

nasi pracowali w młodości po tyle co my godzin, że nie mniej od nas wysilali pamięć i umysł, a przecież nie zaszkodziło tem swemu zdrowiu. Pomijając okoliczność, że kontrola nauczyciela nad uczniem była łagodniejszą niż dzisiaj, nie zapominajmy, że sam postęp we wszystkich gałęziach nauk wymaga dziś większego natężenia umysłu niż dawniej — a potem rodzice nasi byli zdrowsi od nas jako bliżsi tej generacyi co w utarczkach z wrogami ćwiczyła ciało, mniej troszcząc się o gimnastykę duchową.

„Już sama *myapia* (krótki wzrok), szerząca się między młodzieżą, dowodzi przeciążenia nauką; wzrost tej choroby jest w prostym stosunku do coraz większych wymagań w klasach wyższych. Aby zło zażegnać, należy przedewszystkiem uskutecznić podział pracy, uwzględnić chorobliwe usposobienie młodzieży, brak równowagi w jej pojedyńczych umysłowych czynnościach. Prócz tego, dla zrównoważenia jednostronnego naprężenia mózgu, szkoły powinny kształcić jednocześnie mięśnie uczniów, zatem łączyć naukę z pracą mechaniczną, rękodzielniczą. Zarzuci kto może, iż podobne zmiany obniżyłyby poziom wiedzy i zrobiły uszczerbek nauce — otóż pokrzepiając ciało potęgujemy ducha, *mens sana in corpore sano.*

„Nie przeciążajmy zbytecznie pamięci młodzieży datami, wokabułami greckiemi, formułkami matematycznemi, a starajmy się natomiast rozwinąć jej muskuły, wzmocnić nerwy, podnieść poziom jej zdrowia. Nauka straci może na obszarze ale zyska na głębokości, a jednocześnie obudzi się energia i zamiłowanie pracy. Oszczędzajmy młodzież, jeźli chcemy by praca jej wydała kiedyś pożądane owoce dla niej i dla narodu."

+ Czytamy w „Gazecie Toruńskiej" iż w wychodzącej w Toruniu „Thorner Zeitung" bawi się ktoś w projekta założenia tamże uniwersytetu, a nadto pisuje wspomnienia z historyi miasta, tyle warte co projekta i co następująca przepowiednia, zamieszczona w pierwszych dniach września w odcinku tegoż pisma. Jest to niby list, który po 50-ciu latach w 700-ną rocznicę założenia Torunia napisze przyszły akademik toruński do swego dziadka, dnia 31 sierpnia 1933 roku. Wówczas Toruń będzie takiem miastem jak dziś Wrocław; granica prusko-rosyjska będzie w Mińsku, a „Ostdeutsche Ztg" (zapewnie dzisiejsza „Thorner Ostdentsche Ztg") będzie wychodzić w Lipnie. Koniec listu objaśnia polityczne proroctwa autora; oto dosłowne tłomaczenie: „Takiego dnia jak ten pierwszy z trzech uroczystych dni jubileuszu, nie dożyjesz już w Toruniu. Gubernator nowych Prus wschodnich, z dwoma gubernatorami, Prus południowych i Poznania, oraz wszyscy naczelnicy władz prowincyonalnych prusko-galicyjskich, zebrali się z liczną świtą na centralnym dworcu kolei południowej Toruńsko-Lwowskiej, aby przyjąć królów Wielko-Serbii, Rumunii, Bulgaryi i Słowacyi,którzy się zjechali z naszą niemiecko-austryacką rodziną cesarską, aby w sali naszej być uczestnikami szczególnej rozkoszy, usłyszenia mowy w wymarłym języku polskim, który podobno niegdyś na porzeczu Wisły dość szeroko miał być używany. My obywatele akademiccy jesteśmy nader dumni z uczonego profesora wymarłego tego języka, ale drobnostkowicze skłonni do krytyki dowodzą, że przed 50 laty, lada szewc mieszkający podówczas na Rybakach, dziś na winnicę tarasową prześliczną zamienionych, umiał toż samo czem profesor nasz raczył obce znakomitości, jako czemś mistrzowskiem. Powiedz, dziadku kochany, czy to prawda że w młodości twojej, przed 50-ciu laty, żyli tu jeszcze ludzie umiejący mówić po polsku jako językiem ojczystym. Zakrawa to na bajkę! Ale i to prawda, że w archiwum miejskiem odkryto niedawno egzemplarze „Gazety Toruńskiej"... Oto jak na to odpowiada „Gazeta Toruńska". „Zdaje nam się że trafniej wyprorokuje, kto powie że za lat 50 uczeń szkoły elementarnej ewangelickiej, niejaki Schulze, napisze po polsku do ucznia szkoły elementarnej katolickiej: „Kochany Władziu! posyłam ci stary numer gazety niemieckiej z 31 sierpnia 1881 roku, noszący tytuł „Thorner Zeitung", przeczytaj go i daj do przeczytania Jankielkowi Mojżeszczykowi, a oba naśmiejecie się jak ja do zerwania boków. Co też to za głupstwa pisywali tu w Toruniu przed 50 laty! Pytałem pana nauczyciela i powiada wyraźnie i stanowczo: że owego czasu nie było w Toruniu domu dla waryatów, pisywali więc sobie swobodnie co chcieli i nawet głupstwa ich drukowano. Twój *Bogumił.*"

+ W roku bieżącym na uniwersytecie praz-kim przeszło 40 katedr zajmować będą Czesi, wykładający po czesku. Najznakomitsi uczeni czescy: Gebauer, Kwiczali, Durdika, Hattali, Tomka i w. i. będą miewać wykłady. Katedrę języka polskiego, długo niegdyś zajmowaną przez słynnego, choć nieco fantastycznego gramatyka polskiego, Suchecкiego, zajmuje obecnie Czech, p. Kolarz, dobrze znający język polski, czego dowiódł nader pięknemi przekładami utworów polskiej literatury. Pan Kolarz wykłada obecnie gramatykę polską i kieruje praktycznemi ćwiczeniami.

+ Dnia 10 sierpnia r. b. odbyło się w Zagrzebiu doroczne posiedzenie „Maticy Hrwatskiej", pod przewodnictwem p. Iwana Kukuljewicza Sakcińskiego. W końcu roku 1879 Matica Hrwatska miała wogóle, 3,728 członków, w końcu 1880 roku liczba ich wzrosła do 4,827. Pomimo że członkowie wnoszą nader małą opłatę (3 zł. reń.) pomimo, że rozesłano wszystkim członkom w ciągu roku sprawozdawczego 7 dziełek swego nakładu, pomimo nareszcie trzęsienia ziemi, które nawiedziło Zagrzeb a pośrednio oddziałało i na cały kraj — pomimo to wszystko, instytucya ta przez cały naród gorliwie popierana, żadnych strat nie poniosła i dochody z opłaty członków wcale się nie zmniejszyły. Matica miała dochodu 27,309 złr. 45 krajcarów, a wydatków 16,535 złr. 5 krajc. Na wyborach, odbytych 10 z. m., wybrano na prezesa pana Kukuljewicza Sakcińskiego, już od roku 1878 piastującego tę godność. Zapadło także postanowienie wydawnictwa klasyków greckich i łacińskich, w przekładzie chorwackim.

Kiedyż to my się doczekamy naszej „Macierzy" i jej działalności!...

+ W tym roku zaprowadzono w Ameryce oświetlenie wodospadu Niagary światłem elektrycznem, co ściągało niezliczone tłumy ciekawych turystów. Ustawiono nowe maszyny elektryczne, których po raz pierwszy użyto do oświetlenia wodospadu, w dniu 6 lipca r. b. Światło to dozwala przeniknąć wzrokiem gęstą mgłę otaczającą Niagarę; obecnie wszystkie wodospady amerykańskie oświetlone są światłem elektrycznem i uroczy przedstawiają widok. Nowe reflektory są tak rozmieszczone, iż główna siła promieni pada na potok wody, przedstawiający się wtedy jak wiekie smugi żywego srebra, co nader silne sprawia wrażenie.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 15 Сентября 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 40 r. 1881.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Potem zawstydzona że nie umiała zapanować nad swem rozdrażnieniem, zwróciła się nagle do jednego z oczekujących na jej spojrzenie.

Traf zdarzył, że najbliżej stał Chaloner, którego los poety z Dorsetshire nie odstraszył od przeczytania jakiejś poezyi, w której tak długo i wysoko unosił się nad ziemią, że w końcu tchu mu zabrakło. Chcąc się otrząsnąć z gnębiących ją myśli, słuchała go łaskawiej jak zwykle, czem ośmielony prosił jej aby wraz z Tarltonami zwiedziła jego pracownię, gdyż z równym zapałem i powodzeniem oddawał się malarstwu i poezyi, tym dwom rodzonym siostrom, jak się wyrażał.

Ida zamierzała już odmówić mu stanowczo, gdy przechodząca koło niej śpiesznie Zofia zatrzymała się na chwilę.

— Uciekam aby nie słyszeć przynajmniej! zawołała z oburzeniem. Czy uwierzysz że Anna zamierza śpiewać!

— Coż w tem dziwnego?

— Jakto! ciebie to nie dziwi? Taka rażąca zarozumiałość? Śpiewać po Blank'u! Nie chcę przynajmniej patrzeć na to że ktoś z mojej rodziny okrywa się śmiesznością!

Odeszła parę kroków, ale zawróciła się jeszcze i dodała:

— Zobaczymy się jutro rano, gdyż będę u was na śniadaniu. Życzyłam sobie zwiedzić szpital królewski, i on obiecał mnie tam zawieźć.

— Ktoż to jest ten *on?* zapytała Ida blednąc lekko, ale udając że nie rozumie.

— Czy powiedziałam *on?* Jakże jestem nieuważna! rzekła uśmiechając się Zofia. Chciałam powiedzieć doktór Burnet. Nie zwiedzałam jeszcze nigdy londyńskiego szpitala; on ma oprowadzić mnie wszędzie i wytłomaczyć mi wszystko,—jest to przedmiot budzący we mnie głębokie zajęcie.

— Ale to zajęcie obudziło się bardzo nagle, rzekła Ida z gorzkim uśmiechem. Dotąd nie wspominałaś o tem nigdy.

— Bo w domu nie mogłam nic czynić według własnego uznania; tu jestem swobodniejsza.

Skinęła głową i oddaliła się śpiesznie, ucieszona własnem powodzeniem, a rozgniewana zarozumiałością siostry.

— A więc dobrze, powiedziała Ida zwracając się do Chaloner'a, który pomimo że stracił już nadzieję aby jego prośba została wysłuchaną,—stał pochylony ku niej jak płacząca wierzba. A więc dobrze, jutro o piątej będę w pracowni pana.

XXI.

Nazajutrz obie panny Tarlton przybyły na śniadanie, jakkolwiek tylko jedna z nich miała pojechać z Burnet'em. Druga towarzyszyła jej pozornie przez przyjaźń dla Idy, ale głównie naprzekór siostrze która nie życzyła sobie tego.

Nakoniec promieniejąca radością Zofia, pojechała z Burnet'em. Anna patrząc wraz z Idą na wsiadających do powozu, krytykowała surowo lekkomyślne postępowanie siostry, a następnie dodała:

— Zresztą, nie masz z czego cieszyć się tak bardzo, gdyż nie zajęła go wcale, tyle tylko że grzeczny dla niej. Każda z nas nie zwróciłaby na to uwagi.

Ida słuchała w milczeniu, ale w głębi duszy uczuła jakąś radość, którą sobie wyrzucała w chwilkę później, jako wywołaną samolubnem uczuciem.

O trzy kwadranse na szóstą powóz jej zatrzymał się przed domem zajętym na pracownię wielu artystów, a między nimi i Chaloner'a. Spóźniła się naumyślnie chcąc już tam zastać mistress Tarlton i Annę, z któremi miała się tam spotkać. Prawdę mówiąc, żałowała trochę że w chwili rozdrażnienia uwzględniła prośbę Chaloner'a i chciała nawet namówić miss Burnet aby jej towarzyszyła, lecz otrzymała odmowną odpowiedź:

— Dziękuję ci bardzo, ale nie lubię obrazów, i nie znam się na nich.

Chaloner wybiegł naprzeciwko niej aż na ulicę; wiatr powiewał jego włosami spadającemi na ramiona, a w ręce trzymał kwiatek.

— Ah! co za rozkosz! odezwał się drżącym głosem i nie śmiejąc podać jej ręki.

Wielbiciele bóstwa nie pozwalają sobie na tyle poufałości, poprzestają na czci wewnętrznej; Ida wysiadła więc z powozu bez jego pomocy.

— Czy już przyjechały? zapytała z żywością.

— Przyjadą wkrótce... aż nazbyt prędko! odpowiedział smutnie.

Doznała jakiegoś przykrego uczucia gdy znalazła się z nim sama w jego pracowni.

— Jak mogły zrobić mi taki zawód, pomyślała, zwłaszcza gdy mi przyrzekły pilnować się ściśle oznaczonej godziny! Nie... dziękuję panu!.... rzekła do Chaloner'a podającego jej krzesło i wachlarz z piór pawich; wolę stać. Ale gdy spojrzawszy w lustro przypadkiem, ujrzała swą własną twarz nie ozdobioną bynajmniej wyrazem uprzejmości, odezwała się łagodniej.

— Chciałabym zwiedzić pana pracownię.

Zaczął jej natychmiast pokazywać swe skarby, stare wypełzłe obicia, i stojące na stalugach mniej więcej wykończone obrazy, przedstawiające zawsze tęż samą kobietę wychudłą, z cerą zielonawą z rudemi włosami, z piersią zapadłą, kościstemi palcami, niezmiennie na tle słonecznikowem, i osłonioną ciężką draperyą. Każda z nich miała przedstawiać jakąś grecką boginię. Cienie Cytery i Hygii przebaczcie mu!

Przed każdym prawie z tych obrazów, stała, jak przed ołtarzem, piękna lilija w błękitnym wazonie. Zatrzymawszy się przed ostatnim z nich, przedstawiającem najbardziej wycieńczoną i wychudłą kobietę, Chaloner pochylił głowę z uszanowaniem.

— Oto, rzekł drżącym głosem, prawdziwie mistrzowskie dzieło! Składam jej codzień ofiarę ze świeżych kwiatów. Nazywamy ją *Amor dolorosus*.

— *Amor!* zawołała pogardliwie. Sądziłam że to epidemia.

— Wybacz pani, ale zdaje mi się że nie pojmujesz dobrze myśli mistrza...

— Bardzo to być może, równie jak nie pojmuję podobnej miłości, odpowiedziała wzruszając pogardliwie ramionami.

— A jednak, rzekł melancholicznym tonem, wtenczas dopiero jest prawdziwie poetyczną i słodką, gdy przyjdzie chrzest łez i cierpienia.

Wymówił te ostatnie słowa zaledwie dosłyszanym głosem, a przerażona Ida zobaczyła go klęczącego u jej stóp na perskim kobiercu. Nie zdołała jeszcze zgromić go za to, gdy drzwi się otworzyły, i odezwał się w nich głos wesoły:

— Mam tylko pięć minut wolnego czasu, ale tyle razy życzyłeś sobie żebym cię odwiedził, że przejeżdżając... A!... zawołał zobaczywszy ten obraz nie przeznaczony bynajmniej dla publiczności.— Omyliłem się jak widzę!... Nie poznał w pierwszej chwili Idy, dopiero gdy się odwróciła posłyszawszy głos jego, wykrzyknął zdumiony:

— Miss Latimer!

Nastąpiło głuche milczenie. Chaloner podniósł się prędko, a Burnet utkwił w zapłonionej silnie twarzy Idy, spojrzenie pełne gniewu i jakiegoś niezrozumiałego dla niej wyrazu.

— Czy pan nie słyszał co o Tarltonach? rzekła nakoniec zmieszana. Miałyśmy się tu spotkać i nie dotrzymały mi słowa.

Nie odpowiedział ani słowa, i zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na to co powiedziała. Oczy jego błądziły po tych wszystkich przedmiotach, które jak o tem wiedziała, budziły w nim największą odrazę, spoglądał kolejno na te wszystkie podobne do szkieletów kobiety, na stojące przed niemi kwiaty, a nakoniec na tacę z przyrządami do herbaty, i różanemi konfiturami, dowodzącą że się przygotował na przyjęcie miss Latimer. Zniecierpliwił ją swoją pogardliwą surowością, i odwracając się od niego, odezwała się do Chaloner'a o ile mogła najspokojniej:

— Nie przyjdą już zapewnie, i sądzę że nie potrzebuję czekać na nich dłużej.

— Podzielam zdanie pani, rzekł Burnet ostrym, choć stłumionym głosem, pomimo że teraz nie mówiła już do niego; pośpieszył za nią jakby chciał pokazać że nie powinna wyjść sama, i odprowadził w milczeniu do powozu.

Miała nadzieję że już w tem dniu nie spotkają się z sobą, a gdy zobaczą się nazajutrz, będą już mieli czas ochłonąć z gniewu, ale stało się inaczej.

Byli jeszcze oboje rozdrażnieni do najwyższego stopnia, gdy spotkali się z sobą na schodach. Schodziła z nich już zupełnie ubrana, wybierając się na jakiś proszony obiad, on zaś biegł prędko na górę, i zatrzymał ją gdy sądziła że jej się usunie i pójdzie dalej.

— Czy mogę prosić o chwilkę rozmowy? rzekł poważnie surowym głosem.

— Jeźli nie idzie o coś bardzo ważnego, odpowiedziała chłodno, to możnaby zaczekać do jutra.

— Wybacz pani, ale wolałbym dziś jeszcze powiedzieć panu to co mi wypada powiedzieć.

Nie opierając się dłużej, weszła z nim do salonu. Prawdopodobnie trudno mu było rozpocząć rozmowę, bo przez kilka minut panowało między nimi głuche milczenie. Ida ze swej strony nie zdawała się usposobioną aby mu przyjść w pomoc, i tylko zbliżywszy się do okna rzekła obojętnie:

— Powóz czeka, mogę się spóźnić.

— To trudno, odezwał się nakoniec, nie mogłem czekać do jutra... nie pozwalało mi na to sumienie.. czuję się w obowiązku dziś jeszcze żądać wyjaśnienia... ostrzedz panią...

— Ostrzedz! powtórzyła spoglądając na niego z wyrazem obrażonej królowej: oczy jej błyszczały gniewem a na piersiach drżał bukiecik konwalii poruszany uderzeniami jej serca. — Ostrzedz? o czem? Proszę mówić wyraźniej, jeżli pan chce abym zrozumiała.

— Gdyby nie wyjątkowe moje względem pani położenie,—rzekł biorąc w rękę i rzucając napowrót z rozdrażnieniem książkę leżącą na stole,—nie mięszałbym się wcale w czynności pani: ale obecnie czuję się obowiązanym zapytać, czy objaśnienie, jakie otrzymałem z powodu jej obecności u pana Chaloner, jest prawdziwem?

— Nie! odpowiedziała pogardliwie. Dla czegóż mnie pan o to pyta? Nie, było to proste zmyślenie.

Patrzył na nią niespokojnie ze zmarszczonemi brwiami, a pomimo to zdawał się trochę spokojniejszy.

— Musi pani przyznać, odezwał się trochę łagodniejszym już tonem, że poza w jakiej zastałem pana Chaloner, wymaga pewnego wyjaśnienia.

— A ja, odezwała się dumnie,—gdyż uniesienie jej wzrastało w miarę jak jej przeciwnik zdawał się uspakajać, sądzę że to pan powinienbyś się wytłomaczyć dla czego tak nagle wszedłeś do pana Chaloner?

— Objaśniłem już panią że to była prosta pomyłka, odpowiedział z uniesieniem. Dawno już przyrzekłem jednemu z moich przyjaciół że będę w jego pracowni, i pomyliłem się co do drzwi.

— Dziwna pomyłka! powiedziała ironicznie. Wszakże nazwisko pana Chaloner wypisane na drzwiach dużemi literami.

— W takim razie oskarża mnie pani o kłamstwo! zawołał uniesiony gniewem.

Powstrzymał się jednak nagle, jakkolwiek przyspieszony jego oddech, drgające nozdrza, świadczyły jaka burza wre w jego duszy, i dodał już prawie spokojnie:

Pani sądzi zapewnie że przekraczam granice mej władzy?

— Sądzę, odpowiedziała pewnym głosem, że stosunki nasze są już nazbyt naprężone.

— Pani chciałaby na mnie zrzucić winę, a jednak wiadomo pani niemniej dobrze jak mnie, że nie pierwszy to już raz byłem zmuszony przedstawić pani niewłaściwość jej zamiarów lub postępowania. Wierzę jednak że pani nie ma złych zamiarów.

— To już zbytek dobroci! rzekła z ukłonem i uśmiechem zdolnym obudzić gniew nawet w kimś najcierpliwszym.

— Ale świat nie widzi zamiarów i sądzi z postępków, a pani...

— Nie kończ pan! zawołała, idąc szybko do drzwi, a trzymając już za klamkę dodała rzucając na niego pełne oburzenia spojrzenie: — Zachowajmy i nadal zdanie jakie powzięliśmy o sobie: co do mnie, sądzę że pan przesadza sobie swoje prawa nade mną, pan zaś, jeżli mu się tak podoba, może i nadal zachować przekonanie, że nie znam, lub nie uznaję najzwyklejszych zasad przyzwoitości.

Nazajutrz rano miss Latimer nie wstała równie świeża i pogodna jak ten piękny letni poranek który zabłysnął nawet w Londynie. W ciągu nocy przypominamy sobie więcej nasze przewinienia względem innych, wraz z światłem dziennem nasuwają nam się głównie na myśl winy względem nas popełnione.

Przez cały poranek siedziała na kozetce w swoim saloniku posępna i rozdrażniona, pospuszczawszy starannie różowe story. Długa wizyta Anny Tarlton nie zmieniła jej usposobienia; gniewało ją to nawet że nie może powiedzieć pannom Tarlton że nie życzy sobie widywać ich tak często i utrzymywać z niemi zbyt poufałych stosunków. Przyjęła zimno przeproszenie Anny że wczoraj nie dotrzymała jej słowa, i kilka razy uskarżała się na silny ból głowy; aż w końcu Anna, jakkolwiek nie obdarzona zbytnią bystrością umysłu, spostrzegła że jest w złym humorze.

— Widzę że się gniewasz, rzekła z lekkim odcieniem smutku na swej twarzyczce ładnej, lecz pozbawionej wyrazu, ale nieprzyzwoitość tego sam na sam w pracowni, jest prawie niczem w porownaniu z postępowaniem Zofii.

— Jej postępowanie jest dla mnie rzeczą zupełnie obojętną, odpowiedziała niecierpliwie Ida; cóż mnie to może obchodzić? Nie myślę brać z niej wzoru.

— Nie raz już rozmyslałam nad tem, odezwała się znów Anna, której płochy umysł przerzucał się łatwo na coraz inny przedmiot,—o czem mozna mówić z człowiekiem uczonym. Chciałam się dowiedzieć tego od niej, ale w miejsce odpowiedzi spojrzała tylko na mnie z wyrazem jakiejś wyższości.. Zresztą, dodała w prostocie ducha wąchając różę, nie śmiej się ze mnie, ale muszę wyznać, że jakkolwiek on nie należy tak dalece do naszego świata, to w porównnniu z nią stoi daleko wyżej.

Szczęściem, tak przeproszenia jak wnioski Anny musiały się wreszcie skończyć, i pożegnała przyjaciółkę, pozostawiając ją w gorszym jeszcze humorze jak przedtem.

Był to właśnie jeden z tych dni w tygodniu, w które Ida bywała zawsze w szpitalu. Nigdy jeszcze nie czuła się mniej usposobioną do spełnienia nawet tak łatwego miłosiernego uczynku, zależącego na tem, aby usiąść przy czysto posłanem łóżku w pokoju napełnionym świeżem powietrzem, i czytać moralne powieści słuchającym ich chętnie słuchaczom. Przemogła nakoniec swą niechęć, i w oznaczonej godzinie wsiadła do powozu napełnionego pięknemi kwiatami, których w tej porze roku posiadamy tak wiele. Przez całą drogę była bardzo rozdrażniona, i dopiero dojeżdżając do szpitala uspokoiła się trochę.

We dwie minuty później przechodziła już przez obszerne sale, do których świeże i łagodne powietrze wchodziło przez wielkie, otwarte okna. Niosła w ręku pęki kwiatów, i zatrzymała się na chwilę aby przywitać jedną z tych miłosiernych kobiet, poświęcających się pielęgnowaniu chorych, której granatowa suknia dowodziła że wykonała wieczyste śluby, gdy *siostry szare* zobowiązują się tylko na sześć lub dziewięć miesięcy.

Weszła nakoniec do sali w której małe białe z różowem łóżeczka i wielki koń na biegunach dowodzą że jest to sala przeznaczona dla dzieci. Wszystkie są grzeczne i spokojne. Nie słychać płaczu ani jęku, pomimo że dla wielu z nich nie ma nadziei wyzdrowienia, a nawet, po większej części, właśnie te biedne istotki są najspokojniejsze, i mają najpogodniejsze twarzyczki.

Jednak na jednem łóżeczku leży mały chłopczyk bardzo smutny i oddychający z trudnością. Ma dopiero sześć lat, a rodzice wynajęli go akrobatom, którzy tak go męczyli, ucząc różnych sztuk łamanych, że dziś już tylko śmierć może uwolnić go od cierpienia.

Drugi znów chłopczyk leży cały oblepiony gipsem, gdyż ma zwichniętą kość pacierzową, ale twarzyczka jego tak wesoła jakby mógł ruszać się swobodnie.

Innej znów dziecinie odjęto niedawno nogę; patrzy teraz ciekawie na wchodzącą do sali panią, i wypuszcza z rączek na kołdrę polne kwiatki.

Tam znów pochyla się nad łóżeczkiem całkiem czarno ubrany mężczyzna, którego twarzy dostrzedz nie można. Nie bada obecnie pulsu chorego i nie zadaje mu żadnych zapytań. Cóż więc tam robi? Musi to być zapewnie coś bardzo trudnego? Usiłuje poustawiać na nogach wszystkie osoby i wszystkie zwierzęta znajdujące się w arce Noego. Nawet zbliżenie się Idy nie oderwało go od tego zajęcia. Może też rad skorzystać z tego że może się nie odwrócić i nie podnieść oczu. Nie widzieli się jeszcze po swej gwałtownej wczorajszej sprzeczce.

Ida ze swej strony nie zastanowiła się jeszcze nad tem jak go powitać, ani jakie ją może spotkać powitanie, i nie wie sama co czynić.

Odwołano dozorczynię, i została sama zakłopotana przy łóżeczku. Nie wiedząc co ma robić, zaczęła przypatrywać się tej zabawie tak uważnie, że ją zajęła w końcu.

Burnet nie mniej od niej zmieszany, odezwał się wreszcie z uśmiechem:

— Sem i Cham stoją mocno, ale Jafet nie może utrzymać się na nogach.

Wyprostował się mówiąc do niej, trzymając w jednej ręce Jafeta a w drugiej hienę.

— Gotowabym się założyć, zawołała spoglądając na niego z miłym uśmiechem, że poustawiam nietylko ich wszystkich, ale także ich żony, a w koło nich wszystkie zwierzęta.

Milczeli, dopóki jej się to nie udało, a gdy już nietylko ludzie ale i zwierzęta trzymały się dobrze na nogach, Ida ulegając nagłemu popędowi serca, zawołała:

— Jesteśmy przyjaciółmi, wszak prawda?

Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale przypomniała sobie, że pierwszy raz dopiero uścisnąłby ją w swojej.

— To zależy jedynie od woli pani, odpowiedział wzruszony.

Milczała chwilę, klęcząc ciągle przy łóżku z oczami wzniesionemi ku wysokim oknom, przez które wpadały jasne promienie słońca; zdawało jej się że przeniknęły także do jej serca i orzeźwiły je swem łagodnem ciepłem.

— Nie sprzeczajmy się już więcej, rzekła cicho i łagodnie. Te ciągłe sprzeczki są tak przykre!

— Ale pojednanie tak miłe! odpowiedział głosem stłumionym i tak prędko, jakby to wyrzekł mimowolnie.

Milczała, niezdolna wymówić ani słowa, ale uczuła tak silną radość że łzy napełniły jej oczy, a gdy się odwróciła już nie było go przy niej.

XXII.

Sezon londyński zbliża się do końca; mieszkańcy stolicy rozjeżdżają się w różne strony szukając świeżego powietrza. Nadszedł pierwszy sierpnia, dzień, w którym Ida dochodzi do pełnoletności, staje się panią swej woli i pięciu milionów majątku. Przeminęły już miesiące, tygodnie, dni, które, jak jej się kiedyś zdawało, miały się wlec tak długo i nieznośnie dla niej.

Ida w tym dniu wstała bardzo rano, gdyż musi wyjechać wcześnie chcąc stanąć w Marlowe tegoż samego dnia, i potrzebuje pomówić raz jeszcze ze swym opiekunem.

Siedząc przy oknie w lekkiem rannem ubraniu, z włosami spadającemi jej na ramiona, patrzyła smutnie na uśpione jeszcze miasto, jak patrzymy na to z czem się rozstajemy na długo, może na zawsze, i przebiegała myślą drobne wypadki ubiegłego mie-

siąca. Przypomina sobie że więcej miała w nim chwil przykrych jak szczęśliwych, ale jakąż radością napełniały ją te ostatnie,—sama myśl o nich wywołuje uśmiech na jej usta; wyryły się wszystkie niezatartemi zgłoskami w jej sercu i myśli.

Wprawdzie następowały po nich bolesne godziny, w ciągu których oznaki oziębłości, nieporozumienia niekiedy widoczne jej unikanie, a nadewszystko wzmagające się ciągle w jej sercu uczucie zazdrości, zatruwały jej życie. Trzeba także zaliczyć do nieprzyjemności życia niemożność uwolnienia się od częstych odwiedzin panien Tarlton, które nie były jej miłe.

Wbrew jej chęci, obdarzały ją dziś większemi dowodami zaufania, i gorętszemi oznakami przyjaźni, niżeli pięć miesięcy temu.

Musiała słuchać utyskiwań Anny z powodu kilku jej nieszczęśliwych miłości. Jej także zwierzała się ze swem zdaniem co do nadziei któremi karmiła się Zofia.

— Czy sądzisz, mówiła, że ojciec mój zezwoli na to małżeństwo? Jeżli oświadczy się o nią, ma się rozumiéć, co jest jeszcze bardzo wątpliwą rzeczą, dodała z wymuszonym śmiechem.. Gdyby to szło o mnie, to nie podpada wątpliwości że ojciec nie chciałby nawet słuchać o tem, bo trzeba ci wiedziéć że byłam zawsze jego faworytką, ale skoro idzie o Zofię, to kto wie czy nie będzie rad temu że ją może wydać zamąż. Wiadomo ci zapewnie że dotąd nikt jeszcze nie starał się o nią?

— Słyszałam to już nie raz od ciebie, odpowiedziała niecierpliwie Ida.

Na tem skończyła się rozmowa, ale długo jeszcze słowa Anny brzmiały jej w uszach i wywoływały bolesne dla niej myśli. W takim to przykrem usposobieniu, pod wpływem niepewności i obawy osłodzonej zaledwie iskierką jakiejś nieokreślonej nadziei, miała za chwilę opuścić przedmiot wszystkich swych myśli, i wszystkich swych uczuć.

Kalendarz wiszący nad jej łóżkiem, już dawno został wyrzuconym; nie miała siły wykreślać z niego dni ubywających. Wczoraj powtarzała ciągle:

— To już dzień ostatni! To już ostatni raz!

Powtórzyła to nawet w myśli słuchając głośnego sapania miss Burnet, siedzącej przy oknie w wygodnym fotelu i przyglądającej się przejeżdżającym powozom. Wieczorem podając jej filiżankę herbaty, odezwała się pomimowolnie drżącym głosem:

— To już ostatni raz!

— Tak, ostatni, odpowiedziala spokojnie miss Burnet.

Nie zachęcało to bynajmniej do dłuższej, a zwłaszcza serdeczniejszej rozmowy, a jednak Ida chciała coś jeszcze powiedziéć, ale miss Burnet przerwała jej mówiąc:

— Mój Boże! jak to już znać że dnie są krótsze, a wszakże to dopiero koniec lipca.

Przez jakie dziesięć minut panowało głuche milczenie. W pokoju coraz ciemniej, a w sercu Idy coraz smutniej. Chciałaby koniecznie wynurzyć komuś swoje uczucia; gdyby nie było nikogo prócz niej w pokoju, mówiłaby głośno do siebie samej, do krzeseł i stołów, które co prawda, byłyby niewiele skąpsze w odpowiedzi jak miss Burnet.

— Zadaję sobie pytanie, rzekła nakoniec, czy zobaczę jeszcze kiedy panią i pana Burnet?

— Możesz mnie widziéć ile razy zechcesz, odpowiedziała ze swą zwykłą obojętnością. Wiesz że prawie nie wychodzę z domu, a więc łatwo mnie w nim zastać. Co do Jana, wątpię abyście się spotykali często, dodała z zimnym śmiechem, ale równie jego jak twoje serce nie ucierpi wcale z tego powodu.

Co do jej opiekuna, ten także zaledwie trzy razy wspomniał o zbliżającem się ich rozłączeniu, i to bez żadnej oznaki żalu.

Raz naprzykład, mówiąc z nią o jakiemś ulepszeniu które zamierzał zaprowadzić w szpitalu, zatrzymał się raptem, i dodał:

— Ale wtenczas już tu pani nie będzie.

Zdawało jej się w pierwszej chwili że powiedział to z lekkiem westchnieniem, ale póżniej przyszło jej na myśl że się przesłyszała.

Nadeszła nakoniec chwila ich ostatniej rozmowy, po której miała już zostać zupełnie samowolną. O pół do dziewiątej zapukała do drzwi opiekuna, a myśl że nie może pozostać z nim dłużej jak do dziewiątej, gdyż o tym czasie wyjeżdżał zawsze do chorych, przejmowała ją głębokim smutkiem, a jednak przynosiła jej pewną ulgę.

Siedział przy stole z głową wspartą na ręku, ale powstał skoro weszła do gabinetu. Czy to jest ta sama Ida która przybyła do jego domu pięć miesięcy temu? nie, to jakaś osoba blada i poważniejsza od niej... Obmyła oczy zimną wodą aby zniweczyć ślady łez, ale to nie przywróciło jej twarzyczce świeżych rumieńców, spłoszonych z niej przez smutki i bezsenne noce. Nawet dziś nie jest tak piękną jak zwykle, i może zastanawiał się właśnie nad tem, patrząc na nią w milczeniu przez parę minut.

— Składam pani moje życzenia, jako w dniu jej urodzin, odezwał się nakoniec trochę przytłumionym głosem, i pragnę z całego serca aby pani przeżyła wiele jeszcze tych dni zawsze szczęśliwych.

Nie spodziewała się tak życzliwego przyjęcia, i sądziła że będą mówić tylko o interesach, dla tego też wzruszył ją głęboko ten jakiś odcień tkliwości, który dosłyszała w dźwięku jego głosu.

— Niech mi pan nie życzy zbyt długiego życia, odpowiedziała z nerwowym śmiechem, bo któż może wiedziéć czy będzie szczęśliwe?

Może czuł że w tej chwili mogliby łatwo rozczulić się oboje, bo usiadł natychmiast przy stole, i zaczął z nią mówić o interesach.

— Znajdzie pani w tym pudełku, oznaczonym pani nazwiskiem, kwity różnych banków, w których złożone są należące do pani sumy, a których wykaz oddam pani także.

Odzyskała zimną krew przeglądając wraz z nim ten wykaz, i słuchała uważnie ze zrozumieniem rzeczy wszelkich szczegółów jakie jej udzielał. Nie trwało to jednak długo, ponieważ interesami jej zajmował się notaryusz, i potrzebował dać jej tylko pewne objaśnienia i rady, które mu się zdawały niezbędne dla dobra osoby tak młodej i niedoświadczonej.

Po ukończeniu rozmowy dotyczącej interesów, nie pozostawało już nic tym dawnym nieprzyjaciołom, jak tylko pożegnać się wzajemnie. Jak też się z sobą rozstaną? Czy ją pożegna równie zimno jak ją powitał w swym domu? Nie! nie może odjechać od niego bez tych kilku słów pożegnania, które układała sobie w ciągu długich, bezsennych nocy.

Nie mogę odjechać, rzekła opierając na stole drżącą rączkę, bez podziękowania panu za sposób w jaki wywiązałeś się z przykrego swego zadania, i bez przeproszenia za wszystkie nieprzyjemności które pan znosił z powodu mej obecności... mojej złej woli... nierozwagi... i.. i.. mego nieszczęśliwego charakteru.

Z początku mówiła dość wyraźnie choć z pewnem wysileniem, ale przy końcu łzy gwałtem powstrzymywane, tak głos jej przytłumiły, że mówiła prawie niezrozumiale.

Odpowiedział jej tylko przeczącym ruchem głowy.

— Wiem, mówiła dalej z trudnością ale z lekkim uśmiechem, że wady moje należą właśnie do tych które pana drażnią najwięcej, że często pobudzałam pana do gniewu; dla tego też przez wzgląd na pana, cieszę się że przebyłeś już próbę.

— Powinnaby pani raczej cieszyć się przez wzgląd na siebie, odpowiedział prędko i stłumionym głosem. Ma pani do tego słuszne powody.

— Nie, nie cieszę się wcale, odpowiedziała pochylając głowę.

Spojrzał na nią z jakimś dziwnym wyrazem, i z takim ruchem jakby jej chciał otworzyć ramiona, a twarz jego zmieniła się i zbladła, ale zanim zdołała sobie zdać sprawę z wrażenia wywołanego jej słowami, odwrócił się prędko i odszedł do okna.

— Teraz, gdy już odjeżdżam, odezwała się znów po chwili, mam do pana jedną jeszcze prośbę. Może nie zwrócił pan na to uwagi że dotąd nigdy jeszcze nie podałeś mi ręki... Nie wiem czy to się stało przypadkiem, czy też rozmyślnie, nie mam prawa uskarżać się na to, ale skoro już... opuszczam pana... nazawsze... skoro już kończą się nasze nieszczęśliwe stosunki... byłabym bardzo panu wdzięczną, gdybyś mi dał ten dowód życzliwości... i... przebaczenia.

Łzy stłumiły jej głos przy tych ostatnich słowach. Zbliżył się napowrót do niej jakby ulegając jakiejś nieprzepartej sile. Stała ciągle przy stole i podawała mu nieśmiało swą dłoń białą i delikatną; ujął ją w obie swe ręce, utkwił na chwilę w jej twarzyczce zalanej łzami, gorące, głębokie spojrzenie, a potem pochylił głowę i ucałował tę biedną drżącą rączkę.

— Niechaj cię Bóg błogosławi! rzekł przerywanym głosem. Niech cię obsypuje zawsze swemi dobrodziejstwy.

Puścił jej rękę i wybiegł prędko z pokoju.

XXIII.

Ida zrozumiała że błogosławił ją w chwili pożegnania, w tem przekonaniu że powinni rozłączyć się nazawsze, i serce jej ścisnęło się boleśnie.

Nie widziała go już wcale przed wyjazdem, a gdy chciała pożegnać się z miss Burnet, papuga krzyczała tak przeraźliwie, że zaledwie kilka słów zamienić mogły, a następnie opuściła dom Burnet'a sama jedna, tak jak weszła tam kiedyś.

Na stacyi zadziwiła bardzo swą pokojówkę gdy jej kazała wsiąść do innego wagonu, nie chcąc aby była świadkiem jej łez i smutku.

Jednak twarz Idy była już spokojna, a nawet po ustach jej błąkał się lekki uśmiech, kiedy w pyszny wieczór letni, zatrzymała się na stacyi Carnford, z której wyjechała w ową mroźną noc styczniową, która miała wywrzeć tak wielki wpływ na dalsze jej życie. Jakkolwiek bolesnemi były dla niej pierwsze godziny podróży, w końcu czuła tylko radość że wraca do rodziny. Zdaleka już zaczęła wyglądać oknem, aby zobaczyć prędzej kto też z tych, dla których ma być znów aniołem opiekuńczym, wyjechał naprzeciwko niej.

Nakoniec pociąg zaczął iść wolniej, a Ida przebiegała wzrokiem oczekujące tam powozy, szukając wśród nich swego *poneychaise* i swych karych poneyów, które, stosownie do wyrażonego w liście do wuja żądania, spodziewała się zastać na stacyi. Jednak nie spostrzegła ich nigdzie. Zapewnie stoją za jakimś powozem lub omnibusem, pomyślała. Na platformie nie dostrzegła także żadnej drogiej sobie twarzy, tylko jakaś młoda wyelegantowana osoba chodzi tam i napowrót z taką miną, jakby się pyszniła swym strojem.

Zaledwie na nią spojrzała; dopiero gdy napróżno przebiegła oczyma całą platformę, zatrzymała je dłużej na nieznajomej, w której z głębokiem zdumieniem poznała Janinę! Tak, Janinę wyrosłą i modnie ustrojoną!

Ta nagła przemiana, to przeistoczenie się dziewczyny z długiemi nogami, w krótkiej spódniczce i ze spuszczonym warkoczem, na pannę dorosłą i pełną pretensyi, sprawiło na Idzie tak odurzające i przykre wrażenie, że zamiast się z nią przywitać zawołała:

— Ah! moja droga! jakiż ty masz cudaczny kapelusz na głowie!

— Bardzo mi przykro że ci się nie podobał, odpowiedziała spokojnie Janina; ale nie wszyscy mają jednakowe gusta.

Ida nic jej nie odpowiedziała, dopiero gdy już zbliżały się do drzwi, zapytała z pewnem niezadowolnieniem:

— Czy wuj nie wyjechał naprzeciwko mnie?

— Miał zamiar, ale mu to wyperswadowałam, odpowiedziała obojętnie Janina. Wiesz że nie umie ukrywać swych uczuć, i bałam się aby nie rozczulił się zbytecznie na stacyi.

Wyszły już za baryerkę a Ida nie mogła jeszcze dostrzedz nigdzie swych karych poneyów, i po chwili zajechał po nie nowy powozik, zaprzężony w małe gniade koniki, w połyskującej uprzęży, z grzechotkami na szyi i z różami zatkniętemi nad uchem.

— Nie... nie rozumiem tego... rzekła miss Latimer niespokojnie; gdzież są moje poneye?

— Sprzedane! odpowiedziała Janina. Nie sądzę aby ci to mogło sprawić przykrość, były już tak stare, że nie mogłaś nawet się tem poszczycić że sama umiesz powozić. Wymogłam na ojcu, że w ich miejsce te kupił dla mnie.

Ida zbladła.

— Zapewnie twoje umieją skakać przez obręcz? zapytała uszczypliwie Ida.

Janina uznała że nie warto odpowiadać na tak złośliwe pytanie.

— Wybacz że siadam pierwsza, rzekła wskazując na stopień, ale powożę sama.

— Umiesz powozić? zapytała Ida z powątpiewaniem. Może byłoby lepiej abym cię zastąpiła?

— Czy umiem powozić! powtórzyła Janina z pogardliwym ruchem głowy. Wybacz mi Ido, ale twoje pytanie pobudza mnie do śmiechu.

W takiem to miłem usposobieniu puściły się w drogę. Konie były żywe, i z początku Ida zwracała uwagę na to jedynie czy jej towarzyszka umie powozić, ale widząc że się dobrze z tego wywiązuje, zaczęła rozmyślać nad tem do czego doprowadzą te tak niespodziewane dla niej zmiany.

Czy to rzeczywiście ona zajmuje podrzędne miejsce w tym ładnym powoziku? Czy to naprawdę Janina—ta niedawno jeszcze tak hałaśliwa i roztrzepana dziewczyna, ale zmuszona ulegać jej woli, siedzi teraz na pierwszem miejscu z miną tak zarozumiałą? Obejrzała się do koła czy czasem cała okolica nie uległa równie gwałtownej zmianie; ale nie, wszystko jest na swojem miejscu; zawsze też same pola, wzgórza, strumienie, po których tak często tęskniła oddychając dusznem powietrzem Londynu. Oto Ingleboro, której szczyt rysuje się tak wyraźnie na pogodnem niebie; oto pagórki obrosłe wrzosem; a dalej znów tak dobrze jej znane okolice posiane szaremi skałami, wśród których ciągną się zielone doliny ocienione wielkiemi jesionami.

Widok tych miejsc, w których upłynęły jej szczęśliwe dziecinne lata i pierwsze dni jej młodości, rozweselił Idę i złagodził jej rozdrażnienie. Przyszło jej na myśl że jakkolwiek w czasie jej nieobecności cały porządek został przewrócony, to potrafi go przywrócić, skoro znów wszyscy będą zmuszeni stosować się do jej woli. Zwróciła się więc do Janiny i odezwała się z pojednawczym uśmiechem:

— Widzę że niesłusznie posądzałam cię, że nie umiesz powozić; zrobiłaś wielkie postępy przez czas mej nieobecności.

— Tak sądzisz? odpowiedziała niedbale Janina. Ale bo też przez sześć miesięcy można we wszystkiem zrobić znaczne postępy.

W dźwięku jej głosu było coś bardzo nieprzyjemnego dla miss Latimer. Czuła to dobrze, jednak przezwyciężyła się jeszcze i dodała spokojnie:

— Cieszy mnie bardzo to co mówisz; wnoszę z tego że i w naukach zrobiłaś równe postępy.

— W naukach! powtórzyła Janina pogardliwie. Czy sądzisz że teraz mam czas do nauki? Odkąd zajęłam twoje miejsce, musiałam się wyłącznie poświęcić ojcu, a prócz tego zająć się gospodarstwem i wszystkiem w domu, tak że nie mam nawet chwilki czasu dla siebie.

Mówiła to z taką chełpliwością, że rozśmieszyłaby z pewnością Idę, gdyby to nie budziło w niej tak przykrego zadziwienia. Zresztą wszakże niedawno ona sama tak się wyrażała; tylko że w cudzych ustach wydawało jej się to tak daleko gorzej.

— Czy i Emilja także skończyła edukacyą? zapytała ironicznie.

— Staram się koniecznie skłonić ojca aby ją oddał na pensyą, odpowiedziała Janina; byłoby to dla niej bardzo korzystne, a ja nie potrzebowałabym trzymać guwernantki w domu.

— Więc nie zamierzasz być z nią razem na pensyi, zapytała Ida złośliwie.

— *Ja!* zawołała Janina zaczerwieniona po same uszy. A cóżby się stało z ojcem? Czy sądzisz że mogłabym go opuścić dla jakiegobądź powodu?

Po tym wybuchu dziecięcej czułości, rozmowa ustała zupełnie, aż do chwili gdy konie zatrzymały się przed wielkim domem, zbudowanym z szarego krajowego kamienia, który z powodu jego wspaniałej powierzchowności nazywano powszechnie pałacem Marlowe. Ida spostrzegłszy stojącego we drzwiach wuja, wyskoczyła z powozu i rzuciła mu się na szyję.

Otóż jestem! zawołała wzdychając i śmiejąc się zarazem. Czy cię to cieszy, wuju?

— A ma się rozumieć że mnie to cieszy! odpowiedział. Cieszymy się tem wszyscy. Wszak prawda, Janiu?

Wiedziała dobrze iż mówił to co myślał, a jednak spostrzegła że jednocześnie spoglądał przez jej ramię, jakby potrzebował czyjegoś potwierdzenia.

— Cieszy nas to bardzo, wszak prawda, Janiu? powtórzył znowu, ale miss Janina została jeszcze przy swych poneyach i wydawała rozkazującym głosem jakieś polecenia małemu groomowi.

Ida opuściła ręce z wyrazem zniechęcenia, i weszła do domu.

— Pójdę do mego pokoju, rzekła zwracając się ku schodom; chciałabym odpocząć trochę.

— Muszę ci pokazać twój pokój, rzekła Janina wchodząc z nią na schody. Sądzę że nie weźmiesz mi tego za złe, że zajmuję teraz twój dawny pokój; chcąc być bliżej ojca, musiałam się tam przenieść.

— I rozporządziłaś się tak bez mej wiedzy! zawołała Ida z gniewem i zadziwieniem, zatrzymując się na schodach.

— Bardzo cię przepraszam, odpowiedziała słodziutko Janina, ale nie okazując wcale żalu; zrobiłam ~~to~~ wiedząc że zrobię tem przyjemność ojcu.

Nie mówiąc już ani słowa,—bo cóż mogłaby powiedzieć? —miss Latimer poszła za nią do gościnnego pokoju, i usłyszała w nim toż samo życzenie, aby jej w nim było wygodnie, jakie dawniej powtarzała wprowadzając tam gości przybywających na czas krótki.

Spóźniła się kilka minut na obiad, ale potrzebowała dłuższego czasu do ukrycia żywego niezadowolnienia malującego się wybitnie na jej twarzy, a i tak jeszcze nie bardzo jej się to udało.

— Czy odpoczęłaś już trochę Ido, zapytał nieśmiało pan Marlowe, niepokojący się ciągle o to czy córka i siostrzenica potrafią zgadzać się z sobą. Pójdźmy na obiad!

Podał jej rękę i zaprowadził do sali jadalnej. Tam znów spotkała Idę nowa nieprzyjemność; Janina pobiegła naprzód i usiadła na pierwszem miejscu. Ida zatrzymała się zdumiona, ale widząc że wuj drży z obawy czy ta nowość nie wywoła burzy, upadła na pozostawione sobie krzesło, w miejscu przeznaczonem dla gości, i znów Janina otrzymała zwycięztwo.

Przez kilka minut panowało głuche milczenie, aż w końcu Ida zwracając się do wuja, zapytała zimno:

— Gdzież jest Emilja i Ryszardek? Czy mi nie będzie wolno przywitać się z niemi?

— Zobaczysz Emilię skoro przejdziemy do salonu, odezwała się Janina, odpowiadając za ojca. Co do Ryszarda, byłam zmuszona ukarać go; wcale dziś nie zejdzie do nas.

— Czy wolno wiedzieć czem tak bardzo zawinił? rzekła Ida spoglądając zimno na kuzynkę.

— Był dla mnie niegrzecznym i zuchwałym, odpowiedziała Janina podnosząc dumnie głowę. Ojciec nie pozwala na to, aby mi ubliżał.

— Dawniej nie był wcale zuchwałym, powiedziała Ida.

— Ido, czy w drodze kurz bardzo ci dokuczał? zapytał pan Marlowe chcąc zmienić rozmowę.

Odpowiedziała krótko i zimno, a potem znów zapanowało milczenie.

Przeszedł obiad a następnie wieczór, i miss Latimer weszła znów do przeznaczonego jej pokoju, w kótrym stojąc przy otwartem oknie, patrzyła już nie na ten widok, do którego przywykły jej oczy.

— Tu mnie przyjęto niechętnie, a tam nikt mnie nie żałuje! szepnęła smutnie. Nie warto dbać o życie!

XXIV.

W nocy same tylko posępne myśli snują się w głowie Idy; ale uspokoiła się znacznie, gdy zabłysnął świeży i słoneczny poranek; po dłuższem zastanowieniu, zdawało jej się nawet rzeczą prawdopodobną że potrafi odzyskać swe dawne prawa i swe dawne miejsce. Pozostała w tem usposobieniu prawie przez całe rano, pomimo że przykro jej było patrzeć na Janinę puszczającą się przy nalewaniu herbaty, i tak nadskakującą ojcu że nie miała prawie czasu odpowiadać na zadawane jej pytania.

Ale z drugiej strony Emilja,—której pomimo obietnicy nie pokazano jej wczoraj,—Emilja w krótkiej jak dawniej sukience i z warkoczem spadającym jej na plecy, rzuciła jej się z uniesieniem na szyję, a Ryszardek zobaczywszy ją śmiał się, skakał i płakał z radości.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 40.

N. 1—2. Ubrania spacerowe i domowe.

N. 1. Płaszczyk z podwójnemi rękawami. Przód na ryc. 32. Krój na arkuszu z formami N. VII, fig. 33-38a.

Krając przody płaszczyka podług fig. 33, trzeba do prostych brzegów dodać na fałdy po 15 cent., następnie zbywający materyał w górze do 18 cent. długości przemarszczyć a dalej zaplisować i kilka razy w odstępach, podszyć od spodu tasiemką. Długość pleców dopełnia część oddzielna (fig. 35), którą także w górze do 18 c. przemarszczyć a dalej zaplisować. Plecy z przodami od A do dołu i na ramionach od B do C zeszyć; w rękawach które wymagają wielkiej uwagi w szyciu, trzeba część spodnią (fig. 37) prawą stroną do środka obrócić, bo jak to widzimy na ryc. 32, właśnie wewnętrzna strona jest widoczna. Na niej także naszywa się z brzegu 4 cent. szeroką, skośną pliskę z wełnianego atłasu, 3—4 razy przestębnowaną. Gdy obie części złączy się ze sobą od D do E, wszywa się zwierzchni rękaw do płaszczyka, a spodni od A do D. Od A do gwiazdki wszywa się obiedwie części, a od gwiazdki do dołu, tylko część spodnią pomiędzy boczny szew płaszczyka. Przy płaszczyku z ciemno-bronzowego szewiotu, wykładany kołnierz był z aksamitu. Przody zapinają się na kryte haftki; gruby sznur jedwabny zakończony kwastami i z tyłu spuszczony, z przodu przypięty jest metalową agrafą.

N. 2. Ubranie z vêtement.

Do spódnicy z gładkiego materyału, oszytej szerokiem w duże fałdy układanem plisowaniem, z pod którego wyglądają dwie wąziutkie, drobno plisowane falbanki, dodane vêtement z materyału deseniowego, którego spódniczka jest z przodu nakształt panier w szerokie fałdy podpięta, a z tyłu od góry złączona z krótko upiętym prostym brytem. Stanik z tyłu zakończony fałdowaną baskiną, ma z przodu dodany przemarszczany plastron, a między boczne szwy wszyte szarfy. Szeroki kołnierz przemarszczany i takież mankiety, koronka 8 i 4 c., wstążka w atłasie 8 cent. szeroka, stanowią przystrojenie.

N. 5. Teka na listy. Malowanie na drzewie. Deseń na arkuszu z formami fig. 27.

Na fig. 27 dajemy deseń bocznej arabeski, która na tle czarnem, zamalowanem tuszem albo paloną kością słoniową, występuje w jasnym naturalnym kolorze drzewa. Dalej na jasnem tle drzewa maluje się kolorami lub tuszem, albo robi sposobem nakrapianym bukiecik z kwiatów i liści. Nakoniec przed oprawą, stolarz polituruje deseczki, które na modelu miały 26 cent. wysokości a 18 szerokości.

N. 6. Okładka do książki do nabożeństwa. Malowanie na drzewie. Deseń arabeski na fig. 71.

Kontury arabeski otaczającej w koło okładkę, rysuje się na cienkiej drewnianej deseczce, w środku figur pozostawia się naturalne, jasne tło drzewa. Do środkowego obrazu Chrystusa kupuje się piękną niepodklejoną fotografię, wycina ostrożnie obraz i nakleja starannie na drzewie gumą, a potem dopiero całe to maluje się tuszem. Przy umiejętnem politurowaniu, politurą można pociągnąć fotografię co nadaje jej pozór malowania.

N. 7—8. Przykrycie na poduszkę toaletową. Koronka irlandzka.

Ryc. 8 przedstawia w zmniejszeniu kwadrat z tasiemeczki koronkowej i różnych kratek, któren może być upięty jako czepeczek albo użyty na pokrycie do poduszeczki. Na ryc. 7 podajemy w naturalnej wielkości część deseniu i wskazujemy wyraźnie rodzaje ściegów koronkowych.

N. 9. Fartuszek dla dziewczynki lat 2—4. Deseń na arkuszu z formami N. IV, fig. 20—22d.

Fartuszek z płótna niewarowego łatwo można przykroić podług ryc. 9. Na fig. 20 i 21 dajemy deseń na połowę fartuszka, w którym pośród liści, kwiatków i gałązek, umieszczone są rozmaite rodzaje zabawek dziecinnych, a na fig. 22a—d przedstawione są oddzielnie inne zabawki jakie mieszczą się w drugiej połowie deseniu. Haft odrabia się łatwemi pospiesznemi ściegami, bawełną białą lub kolorową turecką. Dwa lub trzy razy ostębnowane kolorowo brzegi fartuszka, oszyte są wązką szydełkową koroneczką.

N. 10. Fartuszek do gospodarstwa. Krój N. V. f. 23-25.

Fartuszek dobrze osłaniający suknię przy zatrudnieniach gospodarskich, zrobiony był z płótna żółtawego koloru, a ozdobiony szlaczkami wyszytemi ściegiem krzyżowym i pojedyńczym, bawełną kolorową na taśmie kanwowej białej, 3 i $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej. Zbywającą szerokość obciskał w stanie pasek 4 cent. szeroki, związany z tyłu na szarfy 82 cent. długie. Brzegi oszyć koronką szydełkową lub nicianą, $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką.



N. 1 i 2. Ubrania spacerowe i domowe.

N. 1. Płaszczyk z podwójnemi rękawami. Patrz ryc. 32. Krój na arkuszu dodatkowym N. VII, fig. 33—38a.

N. 2. Suknia z vêtement.

N. 11. Suknia z długim bluzkowym stanikiem, dla panienki lat 10—12. Krój N. XI, fig. 62—66.

Do strojniejszego ubrania w lecie, albo do nauki tańca przeznaczona sukienka, odrobiona była z organtyny paljowej w rzucik kolorowy. Dość krótka spódniczka oszyta trzema, 10 cent. szerokiemi falbankami, (z których najwyższa z nagłówkiem,) oszytemi walensienką 3 cent. szeroką. Na fig. 62—64 dajemy formę gładkiej podszewki stanika, do której przy krajaniu przodów i plecków ze zwierzchniego materyału, dodać trzeba potrzebną ilość na dwie 2 cent. szerokie, koronką oszyte zakłady. Pasek i kokardy ze wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej.

N. 12—13. Haft na poduszkę do kanapy.

Tło do haftu stanowiła chusteczka z ciemno-szafirowego surah, w kratę blado-żółtą, trzymająca 52 cent. w kwadrat. Na ryc. 12 dajemy w naturalnej wielkości kawałek szlaku i wskazujemy rodzaje ściegów do haftu; podług tej cząstki łatwo będzie można całe szlaki odrysować i gwiazdki do narożników ułożyć. Grubszym okręcanym pelowym sznureczkiem drewniano-żółtego koloru i cienkim jedwabnym koloru złotego, wyszyte są okrągłemi zębami zakończone figury szlaku. Szlaczki z kwadracików złożone, zapełniane naprzemian supełkami i długiemi ściegami nitką złotą, obwieść sznureczkiem bronzowym. Haft płaski w szerszych figurach robić filozelą żółtawo-orzechową do cieniu, przeszywaną z wierzchu, długiemi ściegami nitką złotą. Bukiecik w jednym rogu poduszki umieszczony, z ptaszkiem siedzącym na gałązce, może być aplikacyą wyciętą z kretonu lub welwetu, albo kolorami malowany lub też haftowany pelą różnokolorową do cieniu, ściegiem płaskim i sznureczkowym.

N. 14 i ryc. 16—17 w N-rze 41. Serwetka na mały stolik. Haft płaski na kanwie Jawa. Deseń na fig. 31.

Model serwetki trzymał w kwadrat 66 cent., oprócz frendzli, na którą trzeba dodać potrzebną ilość kanwy. Haft ściegiem płaskim, bawełną białą estramadura N. 3 i bawełną do haftu w kolorze bronzowym w dwóch cieniach, najlepiej wydaje się na tle żółtem lub popielatem kanwy jawa. Robota na obliczonej ilości nitek postępuje prędko i wydaje się ładnie; podział nitek i cieni będzie dokładnie wskazany na r. 16 i 17 w N. 41. Na pierwszej z nich dajemy trochę więcej jak $\frac{1}{4}$ kwadratu w wielkości naturalnej, na drugiej część szlaku otaczającego kwadraty, a na fig. 31 jest $\frac{1}{4}$ część figury środkowej. Frendzlę siepaną 7 c. szeroką, umacnia się przez rzadkie odzierganie, a następnie wiąże na kwaściki po 8 podwójnych nitek.

N. 17. Przykrycie do okna lub serweta. Wyszycie krzyżowe na grubem rzadkiem płótnie lub na kanwie płóciennej.

Model przykrycia zakończonego 11 c. szeroką, siepaną frendzlą miał 96 cent. długości a 123 szerokości. Deseń złożony z oddzielnych figur arabeskowych i rzuciku, łatwo dobrać i ułożyć z rozmaitych deseni podanych w Tygodniku Mód w ciągu roku i dawniej. Do roboty używa się włóczkę crevel w kilku cieniach jednego koloru, albo jak na modelu w kilku kolorach, np. ponsowym, niebieskim i zielonym. Przykrycie podszywa się lekką, kolorową wełnianą podszewką; brzegi boczne obszyć sznurem lub tasiemką wełnianą.

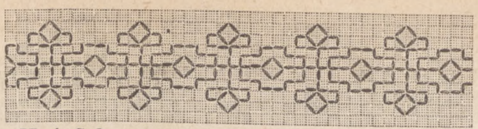
N. 18. Żabot z indyjskiego muślinu i koronki.

Dolną spiczasto zakończoną część kokardy, układa się z trójkąta muślinu, mającego w prostych brzegach po 35 cent. długości, oszytego koronką, ułożonego w wachlarzowe fałdy i przyszytego do kawałka sztywnego tiulu. Skośny, 30 c. szeroki kawałek muślinu, w koło koronką

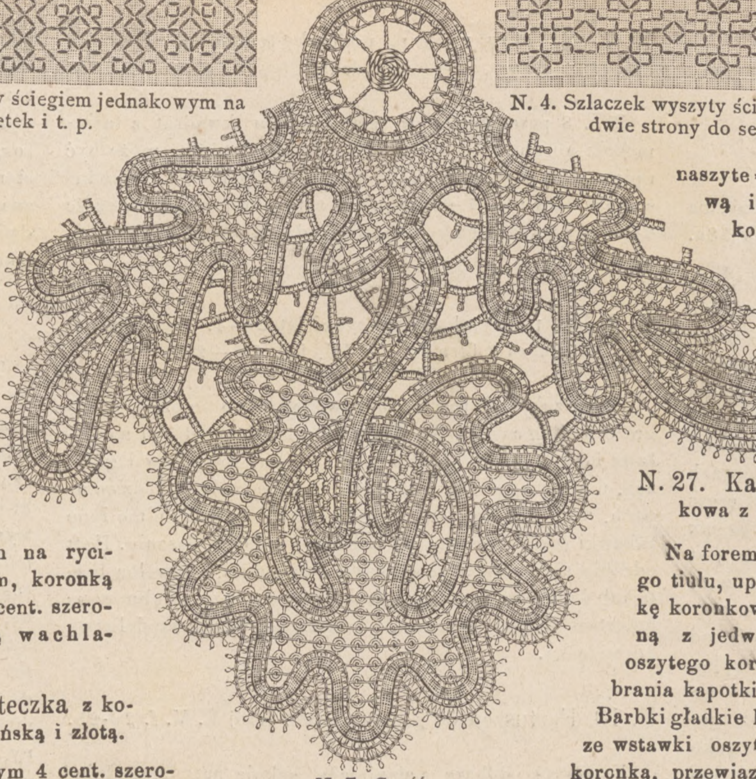
oszyty, przemarszcza się w środku kilka razy, następnie upina nad trójkątem w ten sposób, iż jeden koniec jest sfałdowany, w brzegu nad koronką przeszyty i wolno spuszczony, drugi pod trójkąt brzegiem podwinięty.



N. 3. Szlaczek wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony do serwetek i t. p.



N. 4. Szlaczek wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony do serwetek i t. p.



N. 7. Część koronki irlandzkiej do r. 8.

N. 23. Krawat biały tiulowy, deseń haftu na fig. 32.

Końce krawata 30 cent. szerokiego a 130 długiego, oszyte są dwa razy plisowaniem z koronki, nad którem naszyte szlaczki haftowane na białej materyi, pelą kolorową i złotem. Gwiazdki mają kółka środkowe wyszyte kolorem białym i oranżowym, listki obrobione łańcuszkiem złotym zapełnić pelą różową, szlaki po brzegach robić pelą niebieską, ciemno-żółtą, cerisse i złotem, którem robi się także i ząbki z brzegów podłużnych.

N. 19. Żabot ze wstążki i koronki.

Kawałek wstążki w atłasie (niebieskiej do cieniu) mającej 11 cent. szerokości a 66 długości, przewiązuje się w węzeł w ten sposób, iż jeden koniec ma 13, drugi 18 c. długości. Pierwszy wysiepać na frendzelkę 2 c. długą, drugi oszyć sposobem na rycinie wskazanym, koronką hiszpańską 7 cent. szeroką, sfałdowaną wachlarzowo.



N. 5. Teka na listy. Malowanie na drzewie. Deseń na arkuszu fig. 27.

N. 20. Chusteczka z koronką alansońską i złotą.

Na podwójnym 4 cent. szerokim tiulowym pasku, układa się główną fałdowaną część chusteczki, 6 cent. szeroką a 50 długą, z kawałka żółtego surah, którą na 25 c. środkowej długości garniruje się z tyłu 6 cent. szeroką plisowaną falbanką z surah, oszytą alansońską koronką. Dalej na pasku tiulowym układa się 35 cent. długi żabot z koronki złotej 6 cent. i alansońskiej 5 cent. szerokiej, naszytej podług ryciny, z dodaniem plisowanych przepięć z surah.

N. 27. Kapotka koronkowa z kwiatami.

Na foremce ze sztywnego tiulu, upina się chustkę koronkową lub zrobioną z jedwabnego tiulu, oszytego koronką. Do ubrania kapotki służą kwiaty. Barbki gładkie koronkowe lub ze wstawki oszytej fałdowaną koronką, przewiązuje się lekko albo spina bukiecikiem.



N. 6. Okładka do książki do nabożeństwa. Malowanie na drzewie. Deseń na arkuszu fig. 71.

N. 28. Uczesanie głowy w loki.

Wszystkie włosy związane na czubku głowy, dzieli się na 3 równe części, trochę tapiruje i zwija każdą część oddzielnie w lok długi, równy, nie skręcany; loki przypina się mocno wzdłuż głowy, a krótkie włosy nad czołem i nad karkiem, oraz z boków odstające, trzeba zafryzować.



N. 9. Fartuszek dla dziewczynki lat 2—4. Krój i deseń na arkuszu N. IV, fig. 20—22d.

N. 21. Chusteczka z koronką valenciennes.

Skośny kawałek jedwabnej gazy z końcami na zewnątrz śpiczasto ściętemi, sfałdowany w podłuż i ogarnirowany fałdowaną walencienką, 9 i 4 cent. szeroką, sposobem na ryc. 21 wskazanym przyszytą, stanowi chusteczkę spiętą bukiecikiem kwiatów.

N. 22 i 31. Krawat z czarnego tiulu.

Krawat mający 140 cent. długości a 17 szerokości, oszyty jest u dołu szeroką hiszpańską koronką i ozdobiony wstawkami, robionemi ściegiem tamburkowym, jedwabiem i nitką złotą, podług próbki podanej w naturalnej wielkości na ryc. 31. Koronka jest wywodzona nitką złotą, którą wyszyte także ząbki przy wązkim obrąbku brzegów podłużnych.



N. 10. Fartuch do gospodarstwa. Krój na arkuszu N. V, fig. 23—25a.



N. 12. Szlak do poduszki ryc. 13.

N. 29—30. Dwa kapelusze dla młodych panienek.

Obiedwie ryciny przedstawiają duże, okrągłe kapelusze, z główką 7—9 cent. wysoką, rondem równem, szerokiem, mniej lub więcej podwiniętem, które czasem kładzione są na czoło, ale częściej z głowy zsunięte. Takie fasony szczególnie używane są do jesiennych filcowych lub pluszem pokrytych kapeluszy.



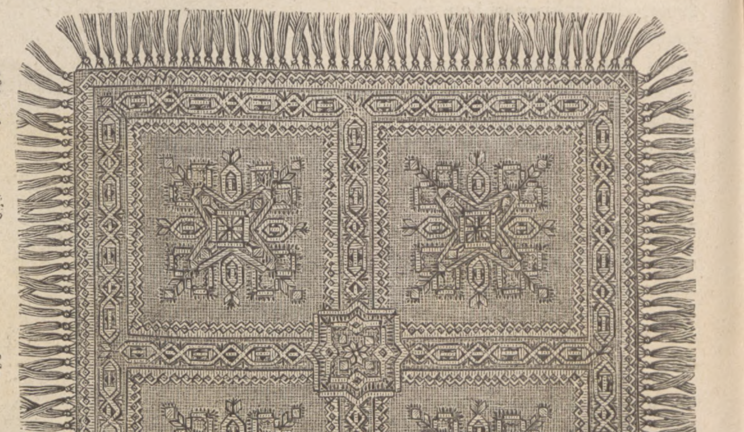
N. 11. Suknia z długim bluzkowym stanikiem dla panienki lat 10-12. Krój na ark. N. XI, fig. 62-66



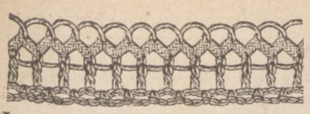
N. 13. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 12.



N. 7. Przykrycie na poduszeczkę na toaletę. Koronka irlandzka. Patrz r. 7.



N. 14. Serweta na stoliczek. Haft płaski na kanwie Jawa. Patrz ryc. 16—17 w N-rze 41. Deseń na arkuszu fig. 31.



N. 15. Ząbki z tasiemeczki obrobione szydełkiem.

N. 33. Długi paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 6—8. Plecy na ryc. 15 w N. 41. Krój na arkuszu z formami N. III, fig. 13—19.

Model paletocika zrobiony był z ciemnobronzowego twedu w drobny deseń bez żadnych przyozdobień prócz stębnówek z brzegów i guzików rogowych do zapinania. Pasek 6 c. szeroki w środku pleców i z boków patkami 2 cent. szerokiemi przytrzymany, opuszcza się nizko. Zmniejszony model fig. 13a-14a wskazuje w jaki sposób przedłużyć formę przodów i pleców. Szwy boczne zeszywa się od *a* do *b*, a dalej przody zachodzą na plecy; wykrój szyi wszyty w prosty 3 c. wysoki stojący kołnierzyk, a pelerynkę z kołnierzem szalowym, szyje się oddzielnie. Bronzowy klot służy na podszewkę pod kołnierz, kieszonki na listwy 6 c. szerokie pod brzegi przodów, a 4 c. do podszycia u dołu pelerynki i płaszczyka.

N. 34. Paletocik z kapturkiem dla chłopczyka lat 6-8. Przód na ryc. 14 w N. 41. Krój N. IX, fig. 46—51.

Brzegi paletocika odrobionego z ciemnego szewiotu w prążki, były parę razy przestębnowane; do zapinania służyły duże guziki rogowe, a kapturek szyje się oddzielnie i przypina pod kołnierzem na guziki.

N. 35. Płaszczyk z krotką pelerynką dla panienki lat 12 do 15. Plecy na r. 25 krój N. X, f. 52-61.

Fig. 52a — 61a przedstawia w zmniejszeniu wszystkie części płaszczyka, wskazuje jak przedłużyć przody i boczki i zestawić całość luźno wciętego płaszczyka formą paletotową.



N. 16. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



N. 17. Przykrycie do framugi okna lub serweta. Wyszycie krzyżykami na grubem płótnie lub kanwie płóciennej.



N. 18. Żabot z indyjskiego muślinu i koronki.



N. 20. Chusteczka z koronki Alençon i złotej.



N. 21. Chusteczka z koronki valenciennes.



N. 19. Żabot z szerokiej wstążki i koronki.



N. 22. Krawatka z czarnego tiulu. Patrz szlak r. 31.



N. 23. Krawatka z białego tiulu. Deseń wyszycia fig. 32 na dodatku.



N. 24. Plecy do r. 26 i 29 w N-rze 41.



N. 25. Plecy do ryc. 35.



N. 26. Haft z podkładaniem na przykrycie na sofę lub krzesło ryc. 19 w N-rze 41.

Na fig. 55 dajemy miary połowy prostego bryta, któren marszczy się w górze i przyszywa do pleców jak to ryc. 25 wskazuje. Na ten bryt zachodzą patki guzikami przymocowane, a razem z boczkami ukrojone. Małą pelerynkę wszywa się razem z wykładanym kołnierzem do wykroju szyi; patki przy kieszonkach przyszyć na przodach od *p* do *q*. Mankiety przy rękawach składają się z dwóch oddzielnych części złączonych podług jednakowych liter. Brzegi płaszczyka oprócz paru rzędów stębnówek, można ozdobić wypustką atłasową z grubym sznurkiem, do zapięcia służą duże guziki z konchy perłowej.

przedłużony z tyłu. Pod szyją dany kołnierzyk przemarszczony kilkakrotnie, z brzegów zakończony falbaneczką. Suknia którą przedstawiamy na ryc. 3 i 4, była z żółtawo-białego kaszmiru, zdobna koronką 9 i 4 cent. szeroką, lub falbanami haftowanemi w maszynie kolorowym jedwabiem. Szarfa z kolorowej wstążki.



N. 29. Kapelusz z czarnego bastu podszyty i przybrany oliwkowym pluszem. Czarne pióra.



N. 27. Kapotka koronkowa z kwiatami.



N. 28. Uczesanie w loki.



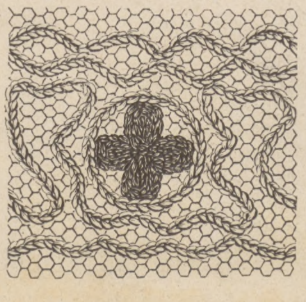
N. 30. Kapelusz z pluszu do cieniu zdobny piórami i wstążką.

Opis do N-ru 41.

N. 1—2. Ząbki do bielizny.

N. 3—4. Suknia z przemarszczeniem (coulissé). Krój na arkuszu N. VI, fig. 26.

Przednia część draperyi zarzucona nakształt szpiczastego fartuszka, przykrojona podług litery *a* na fig. 26, z boków zebrana w ścisłe fałdy, przyszyta jest do górnej drobno przemarszczonej części, 35 cent. długiej. Tylny bryt kraje się podług części *b* i przyszywa na 10 cent. poniżej



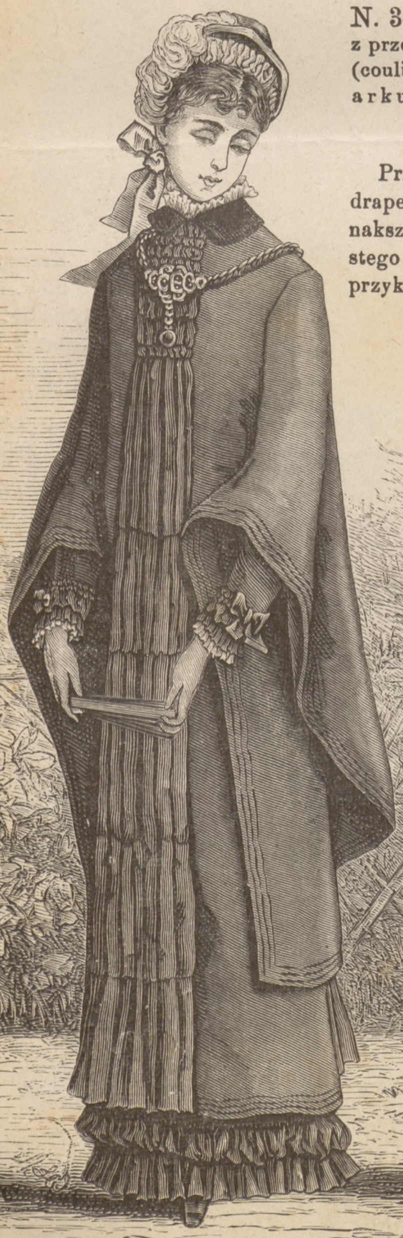
N. 31. Wyszycie na tiulu do ryc. 22.

paska od sukni pod karoczkiem spadającym od pleców stanika, z przodu przyciśniętego szarfą nakształt bluzki. Plecy i przody stanika przemarszczone są podług ryc. 3 i 4, a szarfa przewiązana w ten sposób, iż odznacza bawet krótki z przodu a znacznie

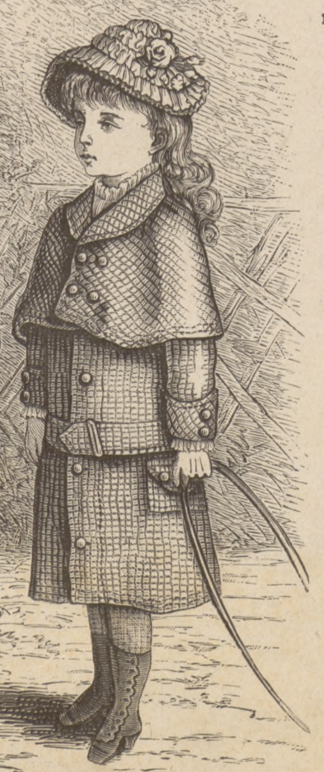
N. 5. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 69.

Strojne ubranie przedstawione na ryc. 5, składa się z czarnej jedwabnej sukni z tuniką i stanikiem grenadynowym, z garnirunkiem z koronki naszywanej perełkami i kokardami z atłasu ciemno-ponsowego, składanego skośnie we dwoje.

(D. n.)



N. 32. Płaszczyk z podwójnemi rękawami. Patrz ryc. 1. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32—38a.



N. 33. Paletocik z pelerynką dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 15 w N. 41. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—19.



N. 34. Paletocik z kapturkiem dla chłopca lat 6-8. Patrz ryc. 14 w N. 41. Krój na arkuszu N. IX, fig. 46—51.



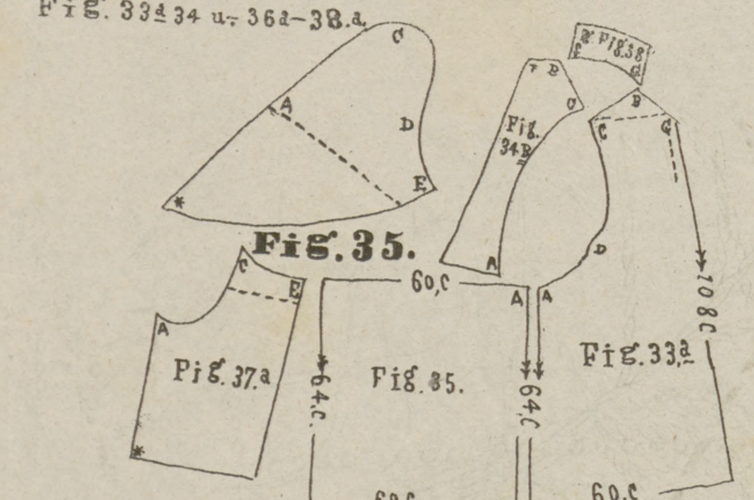
N. 35. Płaszczyk z krótką pelerynką dla młodej panienki. Patrz ryc. 25. Krój na arkuszu N. X, fig. 52—61a.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

N. VII. Płaszczyk z podwójnemi rękawami. Ryc. 1 i 32 w N. 40.

Fig. 33. Przód (A, B, C, D, G) 1 założenie
Fig. 34. Połowa pleców (A, B, C, F) ═ ○ ═ ○ ═
Fig. 35. Wskazanie kroju połowy bryta dopełniającego plecy (A)
Fig. 36. Zwierzchnia połowa rękawa (A, C, D, E, *) 1 założenie — * —
Fig. 37. Spodnia połowa rękawa (A, D, E, *) 1 założenie
Fig. 38. Połowa kołnierza (F, G)
Fig. 33a i 36a—38a. Zmniejszony format zestawionych razem części fig. 33—34 i 36—38.

Fig. 33a 34 u. 36a—38.a.



N. VIII. Okrycie z pelerynką. Ryc. 9 i 11 w N-rze 41.

Fig. 39. Przód (H, I, O, *) ~~~
Fig. 40 Krój połowy części plisowanej (H, :)
Fig. 41. Połowa peleryny (H, I, K, L, M, N, O, *, :) ● ● ● ●
Fig. 42. Połowa kołnierza (N, O)
Fig. 39a i 41a—42a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 39 i 41—42 wraz z fig. 40.
Fig. 43. Desenie szlaku.

Fig. 39a. u. 41a—42a.

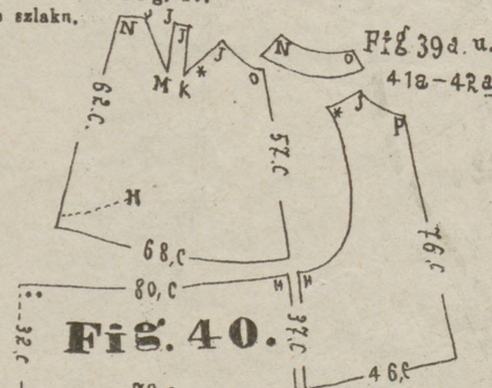


Fig. 40.

Fig. 44. Połowa deseniu do pleców.
Fig. 45. Połowa deseniu na kołnierz.

N. IX. Paletocik z kapturkiem dla chłopca lat 6—8. Rycina 34 w N-rze 40 i ryc. 14 w N-rze 41.

Fig. 46. Przód (P, R, S, W, *, :)
Fig. 47. Połowa pleców (P, Q, R, S, T, V) 1 założenie
Fig. 48. Rękaw (T, U)
Fig. 49. Połowa kołnierza (V, W) ◡ ◠ ◡ ◠
Fig. 50. Klapka do kieszeni (*, :) * * * *
Fig. 51. Połowa kapturka (X, Y) — ○ — ○ —

N. X. Płaszczyk z pelerynką dla panienki lat 12—14. Ryciny 25 i 35 w N-rze 40.

Fig. 52. Przód (a, d, e, f, o, p, q)
Fig. 53. Boczek (a, b, c, *) ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 54. Połowa pleców (b, c, d, e, n, +) = × = ×

Fig. 52a—61.a.

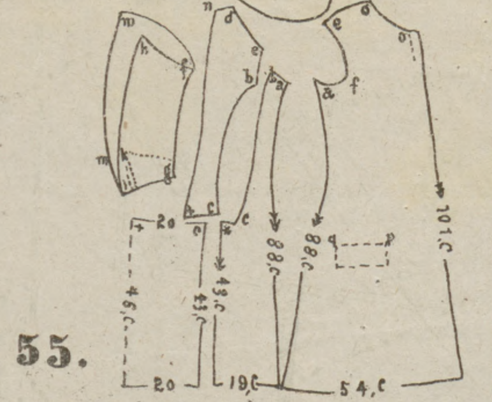


Fig. 55.

Fig. 55. Krój połowy bryta dopełniającego plecy.
Fig. 56. Rękaw (f, g, h, i)
Fig. 57. Zwierzchnia połowa wykładu rękawa (i, k, l, m) + + +
Fig. 58. Spodnia połowa wykładu rękawa (i, k, l, m) • × • × •
Fig. 59. Połowa peleryny (n, o) ↔ ↔
Fig. 60. Połowa Kołnierza (n, o)
Fig. 61. Klapka do kieszeni (p, q) — × — × —
Fig. 52a—54a i 56a—61a. Zmniejszony format zestawionych racem części kroju z fig. 55.

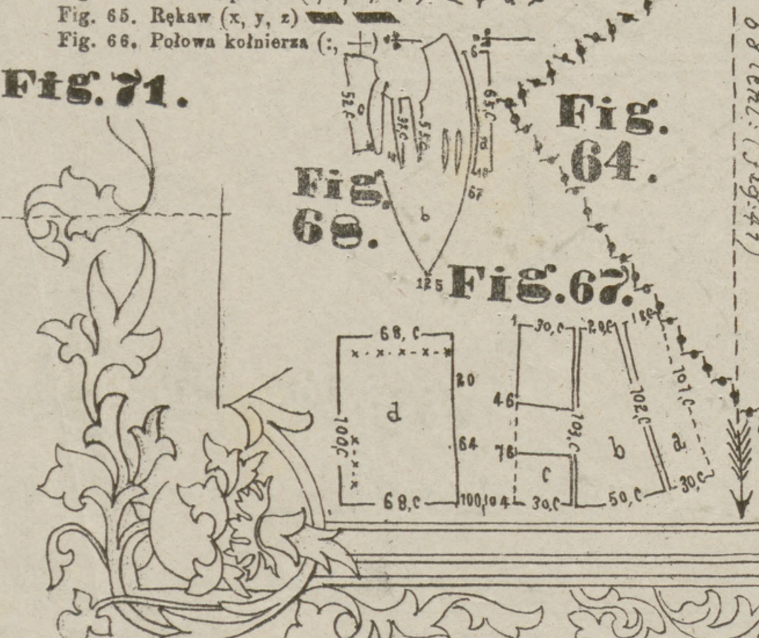
N. XI. Stanik dla panienki lat 10—12. Ryc, 11 w N-rze 40.

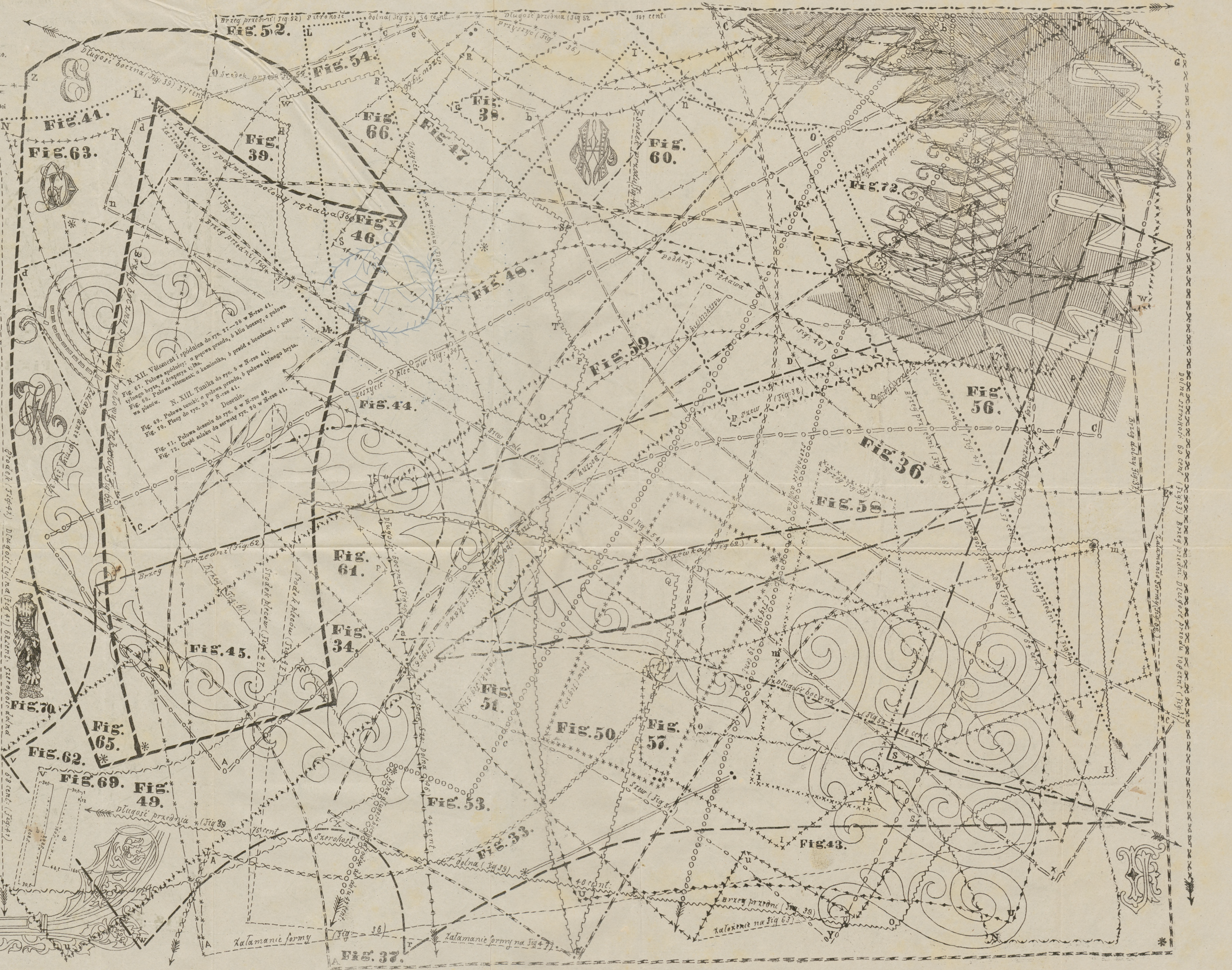
Fig. 62. Przód (r, s, t, v, w, x, +) 1 założenie — — —
Fig. 63. Boczek (r, s, t, u) 1 założenie ↔ ↔
Fig. 64. Połowa pleców (t, u, v, w, :)
Fig. 65. Rękaw (x, y, z)
Fig. 66. Połowa kołnierza (:, +)

Fig. 71.

Fig. 68.

Fig. 67.





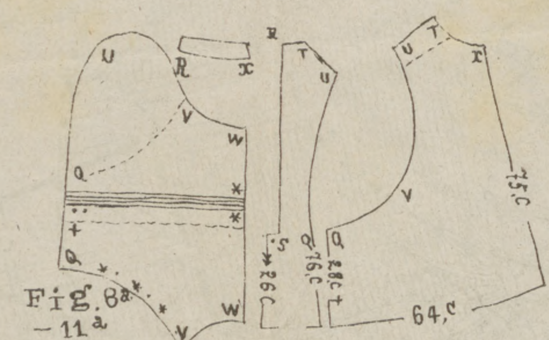
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

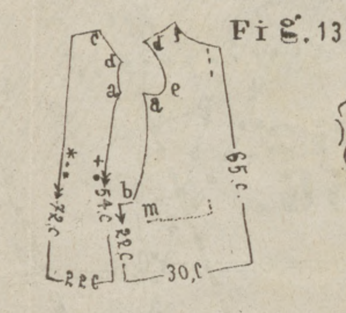
N. I. Stanik z krótką baskiną do sukni ryc. 24 w N-rze 40 i r. 26 i 39 w N-rze 41. Miara objętości przez połowę: 44 cent. w górze, 32 w pasie.

Fig. 1. Połowa przodu (A, B, D, G, K, L, M, :, +, ·) i założenie
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D) — o — o —
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F, G) — × — × —
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, H, I, K, L, × 1 i · 1 do × 3 i · 3) i założenie formy
Fig. 5. Rękaw (M, N, O, P)
Fig. 6. Połowa paska do kołnierza (II, :) * * *
Fig. 7. Patka boczna (·, +)



N. II. Okrycie z szerokiemi rękawami. Ryc. 10 i 12 w N-rze 41.

Fig. 8. Przód (Q, T, U, V, X, +) 1 założenie
Fig. 9. Połowa pleców (Q, R, S, T, U, +, ·)
Fig. 10. Rękaw z oznaczeniem przecięcia formy.
Fig. 10A. Górna połowa (Q, U, V, W, *, :) ═ × ═ × ═
Fig. 10B. Spodnia połowa (Q V, W, *, :, +, × 4 i · 4 do × 6 i · 6)
Fig. 11. Połowa kołnierza (R, X)
Fig. 8a—11a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 8—11.
Fig. 12. Deseń wyszycia.



N. III. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 33 w N-rze 40 i ryc. 15 w N-rze 41.

Fig. 13. Przód (a, b, c, d, e, l, m)
Fig. 14. Połowa pleców (a, b, c, d, *, :, +, ·) × · × · × ·
Fig. 15. Rękaw (e, f, g, h)
Fig. 16. Mankiet (i, k) o o o o o
Fig. 17. Kieszonka (l, m) + + + + +
Fig. 18. Połowa pelerynki (n, o, p, q, r, s) — * — * —
Fig. 19. Połowa szalowego kołnierza (r, s)
Fig. 13a—19a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 13—19.

N. IV. Fartuszek dla dziecka lat 2—4. Ryc. 9 w N-rze 40.

Fig. 20. Połowa fartuszka wraz z deseniem (t, u) i założenie formy
Fig. 21. Kieszeń z wyszyciem (t, u)
Fig. 22a—22d. Cztery desenie do wyszycia.

N. V. Fartuszek do gospodarstwa. Ryc. 10 w N-rze 41.

Fig. 23. Połowa przodu (v, w, x, y, z) ⟷ ⟷
Fig. 24, Połowa pleców (v, w, x)
Fig. 25. Połowa kieszonki (y, z)
Fig. 23a—25a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 23—25.

N. VI. Draperya do sukni ryc. 3—4 w N-rze 41.

Fig. 26. Połowa draperyi (*a* połowa przodu, *b* bryt tylny.)

Desenie.

Fig. 27. Malowanie na drzewie do ryc. 5 w N-rze 40.
Fig. 28. Połowa deseniu do ramki ryc. 7 w N-rze 41.
Fig. 29. Kwiatek } do ryc. 25 w N-rze 41.
Fig. 30. Listek }
Fig. 31. Czwarta część rozety środkowej do ryc. 14 w N-rze 40.
Fig. 32. Część wyszycia łańcuszkowego do ryc. 23 w N-rze 40.

